



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.50 zł — 12 stron

Warszawa, 22 lipca 1954 r.

Nr 29-30 (225-226) Rok V

22 LIPCA 1944 — 22 LIPCA 1954

JULIA HARTWIG

Powrót do Lublina



Fot. E. Hartwig

Jest taki niepisany, bardzo polski kodeks, który o miejscach rodzinnych zabrania mówić źle. I rzeczywiście, jest coś szpetnego w ludziach, którzy w żarcikach na temat rodzinnego miasta przebiegają miarę, śmieją się szyderczo z prowincjonalnych obyczajów, jakie w nim panują, szydzą zbyt ostro z tamtejszych mód, rozrywek i uroczystości. Łatwo sprawdzić, że najmiśli rozmówcy to jednak ci, którzy z trudną do odparcia dumą wymieniają liczbę mostów na rzece w rodzinnym Kaliszu, chwalą poziom tamtejszego gimnazjum, które niegdyś kończyli i urodę kaliszanki, (oczywiście pod warunkiem, by nie czynili tego w sposób zbyt roz-wlekły), każdego zaś znajomka urodzonego w tym mieście obdarzają szczególniejszymi względami. Literatura polska ten „smak prowincji” zawsze należycie oceniała, dając jej pierwszorzędną rolę w szkole życia swoich bohaterów, ale przecież, jak twierdzą ludzie złośliwi, ci mianowicie, którym na długie lata wypadło łączyć swe losy z losami niedużych miasteczek — ale przecież pisarze, autorzy tej literatury, porzucali zwykle owe uroczne Kielce, Chelmy i Stare Sącze z dość lekkim sercem, dając ku gwałniej-szym i ruchliwsiom stolicom. Stan-tąd — jak twierdzą dalej ci sami — łatwiej już im było wychwalać u-roki porzuconych często na zawsze okolic. Właściwie też nikt się tym uciekinierom — bez względu na zawód jaki wykonywali — zbyt nie dziwił. Przed wojną owa „pro-wincja”, mówicie sobie co chcecie: charakterystyczna, pouczająca i ja-koś tam jeszcze — mogła się wyda-wać czymś straszonym.

Lublin, choć miasto wojewódzkie, nosił na zewnątrz wszelkie cechy owych miast prowincjonalnych. Szerokie, rozwleczone na kilome-tre przedmieścia, nieduże dwupię-trowe kamieniczki ciągnące się wzdłuż centralnej ulicy, wczesna ci-sza nocna, niedzielne szlifowanie

bruków przez młodzież, nierzadko nawet, na bocznych uliczkach, po-wystawiane przed dom krzesła. A nad tym wszystkim gorąca Brama Krakowska z przepięknym starym miastem, pamiętającym czasy takiej świetności Lublina, takiego ożywie-nia, bogactwa i sławy do jakiej nigdy już od wieku złotego nie da-ne mu było powrócić. Z tym sta-rym miastem pięknym i przerażają-cym, gdzie wszelka biedota miej-ska, w tym wielka liczba biedoty żydowskiej, wegetowała w najstrasz-niejszych warunkach mieszkani-owych. Dalej ciągnęły się przedmie-scia Czwartek, Kalinowszczyzna, Cze-chowka, coraz bardziej nijakie i po-zbawione charakteru, pół-wsie, pół-przedmieścia, równie zaniedbane, tylko rzadziej i bardziej przypadko-wo zabudowane domkami, chalup-kami i lepiankami.

Z nastrojów takiego bezwładu i beznadziei, obwarowanego na do-miar kordonem tępej i dobrze od-żywionej policji, rodził się bunt lub apatia. Wstrząsa Lublinem proces działaczy LSS-u, organizacji tak za-służonej dla Lublina w latach 1916, 17, 18, pod której wpływem, jak pi-sał w swych wspomnieniach jeden z ówczesnych działaczy spółdziel-czych, Józef Dominko, znajdował się cały fabryczny proletariát Lu-blina, a której jednym z założycieli był Róslaw Bierut. W latach mię-dzywojennych raz po raz odbywa-ły się na Lubelszczyźnie procesy ko-munistyczne, ponurym echem obja-ja się o miasto wieści o krwawych pacyfikacjach niedalekich wsi u-kraińskich i białoruskich. Szaleje lubelska endecja, w hotelu „Euro-pa” i restauracji Radzyńskijskiego nie brak nigdy ziemiańskich gości z okolic, którzy z tym samym od lat zapałem omawiają swoje weysen-hoffskie „rustica”; zdolniejsza mło-dzież pochodzenia mieszczańskiego i inteligencckiego dusi się, nie umie-jąc znaleźć wyjścia z zamkniętego kręgu swoich spraw, szuka uciecz-ki w poezji, tęskni za blaskami Warszawy. A równocześnie wciaga-

ją ją uroki staromiejskich ulic, ma-lowniczość miasta i jego — co tu mówić — niemala egzotyka: od lat jest Lublin centrum oświaty i kul-tury żydowskiej, tu w XVI i XVII wieku odbywały się w czasie jar-marków synody Wielkopolski, Ma-lopolski, Rusi Czerwonej i Ukrainy, tu powstała pierwsza w Polsce szkoła talmudyczna, tu założono je-dną z pierwszych drukarni żydow-skich, zasłużoną w historii naszego drukarstwa; dla kontrastu, na dru-gim krańcu miasta, tam, którejdy prowadzi trakt warszawski, wznosi się znów gmach jedynego w Polsce katolickiego uniwersytetu, który również na swój sposób kształto-wał życie niemalego odłamu tutej-szej społeczności; między tymi dwo-ma bastionami wyznaniowymi kil-kanaście szkół, kościołów i jedna cerkiewka. Dopiero na zewnątrz pierścieniu miasta, tam gdzie ciem-nymi zygawkami znaczą się komi-ny cegielni, gazowni, dachy elektro-wni, rzeźni i pomniejszych fabry-czek, i bliżej, w rejonach stacji, ulicy Bychawskiej i Bronowic, za-czynął się świat proletariackiej dol-i, dla którego tak niespodzianie za-cząć się miało to dzisiejsze, pełne nadziei jutro, rozpoczęte historycz-nymi dniami wyzwolenia Lublina i powstania PKWN, którego tym-czasową stolicą stało się właśnie to miasto.

Trwa dziesiąty rok Polski Ludo-wej. Jest czerwcowe popołudnie 1954 roku. Część robotników pra-cujących w tej części odbudowy lu-belskiego Starego Miasta poszła już na odpocznik. Na wzgórzu zamko-wym warunko tylko w bezustan-nym pochodzie połączona koparka wy-równująca teren. Łatwo ją odróżnić od innych po żółtym, biegnącym w poprzek pasie: to koparka z Wierzbicy, przeniesiona z kolei na lubelską służbę. Warszawski me-chanik, który ją obsługuje spędza

(Ciąg dalszy na str. 3)

JERZY JURKIEWICZ

Patrząc w przyszłość

Łato 1944 roku było w Lublinie upalne. Jeden za drugim następo-wały słoneczne suche dni — w kil-ku domach przy ul. Spokojnej za-bezpieczonych przez pierwszą ar-mię zaraz po wyzwoleniu miasta na siedzibę PKWN można było spać przy wybitych oknach i pod dzu-rawymi dachami. Uliczka położona była na uboczu, kończyła się urwi-stą skarpią, z której wzrok leciał daleko nad lubelskie łaki — obok gorączkowym pogmatwanym powy-zwoleniowym życiem kipiało mia-sto.

Na ścianach domów bielili się plachty wydane 22 lipca Mani-festu — ujęte w słowa i hasła kilkunastokrotne marzenia najlepszych synów narodu polskiego — od Ko-sciuszki do Dzierżyńskiego i Mar-chlewskiego. Obok Manifestu wi-siały plakaty z rzędami małych fo-tografii członków Komitetu. — Czerwoni na twarzy, nabici kula-mi i sklepikarze lubelscy stawali przed plakatami i liczyli: „Wasi-lewska — Żydówka, o patrz pan jaki ma długi nos”. Trotuarami szli ma-li, wychudli, szerniali na twa-rzy, zawzięci jak osy krasnoarmiej-cy, którzy ścigali Hitlera już trzy tysiące kilometrów i mieli go ści-gać jeszcze półtora tysiąca — nie-kto z nich byli w Armii bez przerwy już 9 lat. Szli ci, którzy mieli dobić bestię hitlerowską, któ-rzy mieli walczyć jeszcze rok. Za-piewało wysokim przenikliwym głosem śpiewał dziwne melodie o bożkowskich ścieżkach i tajgach, o niezwykłym życiu pokolenia, któ-re rzuciło wyzwanie całej dotych-czasowej historii ludzkości i na własnych kościach buduje lepszą przyszłość dla całego świata, o da-lekich królestwach, w których zosta-ły tylko staruszki i dzieci do 15 lat, o dziewczynach, które towarzy-szą im na froncie lub tygodniami nie wychodząc z olbrzymich kombi-natów przygotowują dla nich broń — zapiewało potężnym refrenem odpowadał oddział. „O patrz pani, zupełnie przeciwnie nie mają, ani po-równać z Niemcami” mówili lubel-skie mieszkanki w dziwacznych pu-delkowatych kapeluszech, które by-ły modne w Lublinie w 1944. roku.

Procesje płaczących, wybieganych ludzi ciągnęły do Majdanka — już na kilka kilometrów przed obozem unosił się w powietrzu nieznosny zapach spalonego ludzkiego mięsa, który wszystko ożenikał — ubrania nasykały nim na kilka dni. Koło obozu złościła się wspaniała kapu-sta używana prochami z kremato-rium. „Rosjanie wam za wszystko zapłacą” mówili mściwie wracają-ce z Majdanka wdowy. Do prze-wodniczącego Krajowej Rady Na-rodowej ścigali z trzech woje-wództw przedstawiciele samorządnie powstających rad narodowych i mówili: „Stworzyliśmy radę naro-dową a teraz powiedzcie towarzy-szu za co się przede wszystkim wziąć?” Wrócili z Manifestem i przystępowali do przygotowania re-formy rolnej. Już od 21-go lipca zaczęły do Lublina ścigać kadry nowo-tworzących się urzędów Ko-mitetu — z lasów Lubelszczyzny wychodzili partyzanci, przez linie frontu przedstawiali się działacze rewolucyjni z „tamtej” strony, z Moskwy przelociała pierwsza grupa dawnych pracowników ZPP.

W ciepłe letnie wieczory miasto ogarniała nieprzebita ciemność przecinana smugami reflektorów i szaloną palbą działek i przeciw-łotniczych karabinów maszynowych — nalożyły sobie miejsce co noc, ale obrona była dobra. Przez cały czas na Lublin nie spadała ani jedna bomba.

Dnie wypełniała praca, szczegól-na praca lata 1944 roku, w której fantazja i marzenia przeplatały się z najbardziej drobniagowymi kło-potami. Pracownicy działu rolnic-twa Komitetu Ekonomicznego Mi-nistrów (najpierw był jeden potem trzech) opracowywali jednego dnia, wyrывая sobie wzajemnie z rąk jedyny egzemplarz małego rocznika statystycznego 1939. plan zaopatrze-nia w zboże („Zagadnienie ma być opracowane szczegółowo, powiatami. Oczywiście musicie wziąć w perspektywę pod uwagę osadnic-two na ziemiach po Odre i Nysę. Termin: jutro godzina 9-ta rano” mówił szef Urzędu), aby drugiego

(Dokończenie na str. 11)

ANTONI SŁONIMSKI

DZIESIĘCIOLECIE

Wśród białych bloków mieszkalnych,
Zieleńców, szerokich arterii
Przebiegających przez miasto
Rzeką lśniącego asfaltu
Tkwią jeszcze gdzieniegdzie ruiny.
Nagle jak widmo wyrasta
Czarnym profilem ostrym
Dom stary, zryty kulami
Patrzy ślepymi oknami
Trup zapomniany,
Niepochowany nieboszczyk.

Pod murem krzyżem znaczone,
Na szarych płytach chodnika
Ktoś złożył wianuszek spleciony
Z nieśmiertelników.
Nocą iskrami się żarzą
Jak błędne na bagnach świetliki
Lampki oliwne.
Co krok, pod jezdnią, pod domem,
Pod gmachem białych stu pięter
Krew się łączyła z cementem.

Ten dom-widmo ma ciemne, głębokie podwórce.
Serce jak wiadro zanurzę,
Wyciągnę je ciężkie
Z tej studni wspomnień.

Ten dom w straszną zmienił się pułapkę,
Tu, jak ptak który złapał się w smarkę
Serce tłukło się w klatkę piersiowej.
Tu na klatce schodowej
Krwi kałuże stróż zmywał ścierką,
Maczał ścierkę w czerwone od twej krwi wiaderko
I krwią twoją zrózowiona woda

Schła powoli na kamiennych schodach.
Z tego okna strzelał syn Maryli,
A w tej wnęce Ariela zabili.
Było takich domów tysiące,
A w każdym spłynęła gorąca krew młoda.

Niech ten dom gdzie straszą upiory
Trup w śmiertelne nieokryty chusty,
To memento mori
Trwa wśród bieli radosnych osiedli,
Byśmy w nasze czyste domostwa nie wwiedli
Dzieci o sercu pułym.

Dałaś Polsko Ludowa swym dzieciom
Dzień radosny dziesięciolecia,
Bosym nożkom mocne dałaś buty,
Oczom śmiałość i nadziei iskry.
Na horyzont mgłą szarą zasnutą
Wiatr od wschodu nadleciał, od Wisły,
I już niebo jak sztandar rozwiane.
Gra muzyka.

A gdy scichnie, kaźcie dzieciom
By na chwilę przyklejły na płytach chodnika,
Tu gdzie leży ten wianek
Nieśmiertelników.
Kaźmy dzieciom powtarzać imiona
Tych co w wiarę swą zbrojni niezłomną
Jedną drogą prawdziwą nas wiedli.
Droga była krwią ludów znaczona,
Szła przez zgłiszczę i doły cmentarne,
Niech więc dzieci choć na chwilę wspomną
Tych co krew swą oddali na marne
W obcej ziemi dawno pochowanych
Oszukanych, wiernych, zapomnianych.

ANNA KAMIENSKA

DO KASI

Bolą mnie twoje stopy zziębnięte, dziewczynko,
Gdy za krowami biegasz z mokrą koszulką,
Eo! — moje twoje plecy w siniakach ojcowych
I w ciemnościach mnie straszą święci u alkowy.
Z izby mnie wyganiają, bracieśzek się żeni
I siostra się ubiera w sukienkę zieleni.

Młode ciało miłego pragnie, oczekuje,
Gerzące moje usta zimny deszcz całuje.
Ręce mi się zrywają u wiader na służbie
I kwitną na przymroku jak dwie wielkie róże.
Wiem już, jestem zgubiona, już wiem, że okłamię,
Ale raz niech uściśnie mocnymi rękami.

Kasiu! O, moja droga! Jakbym to ja sama
Twoją ścieżynką biegła, miłością pijana.
Jakbym to ja, przez matkę śledzona zazdrośnie,
Słuchała, jak występna we mnie miłość rośnie.
To ja sama, oddana ludziom na języki
Poszłam na stos piosenki, na topiel muzyki.

I teraz wracam. Wracam z bolesnego kraju,
Ciepły wiatr z pól powiewa i lzy osychają.

SPOTKANIE PO LATACH

Nowe tu gmachy wszędzie, nowe strony.
Drży w ręku adres. Jak ci się pokaże?
Wracam jak ze snu: Gdzie książki, bruliony?
Szkoła ostygła dawno po pożarze.

Nauczycielko, jak ujrzę twą głowę?
Czy popiół padł na czarne brwi i włosy?
Czas rzeźbi czasem straszne rysy nowe.
Żyjesz — to tylko zbliża nasze losy.

Może nie poznasz mnie? To niemożliwe.
Siadaliśmy obok siebie na łapczanie.
Patrzę — ach tak, włosy masz siwe, siwe.
Wiem, jakie będzie pierwsze twoje pytanie.

Uczyłam dzieci. Uczyłam się greki.
Mam męża. Synów. Piszę czasem wiersze.
To wszystko prawda, a słowa dalekie.
To moje życie? Bicie mego serca?

W jak zwykłych formach treść życia się skrywa!
A ty samotna zawsze? Czy szczęśliwa?...

NIEWIARA

Rdzące topoli listki,
Rząd jablek wesoły,
Dzisiaj w sukience czystej
Jadę na wieś ze szkoły.

Powaga mnie obciąża
Siedemnaście lat życia,
Znam smak prawdziwych książek,
Czytałam Mickiewicza.

Boję się własnych dłoni,
Że kiedyś będą w trumnie,
I kołacz, mi w skroni
Nadzieje nierozumne.

Na werandzie — czeremcha,
Na werandzie — ołtarzyk.
Niby wieczór jest ciepły,
Lecz dreszcz biegnie po twarzy.

Litanie, jak co roku,
Zaczyna kilka osób.
Po raz pierwszy w tym roku
Stoję sztywna, bez głosu.

Dymią knuty nabożnie,
Ktoś fałszywie zawodzi.
Wzrok matki bólem groźnym
Nagle we mnie ugodził.

Drży mi serce wzruszeniem,
Blyszczy księżyc wysoki,
I odważnym milczeniem
Głównianam obłoki.

NASZ MAJ

Niech się święci I maj!
Niech się święcą wasze twarze,
Ludzkie twarze porwane,
Troską życia zapisane,
Nieotarte z lez i z marzeń,
W transparentach kołysane
Wasze proste ludzkie twarze.

Niech się święci I maj!
Niech się święci mego dziecka
Uśmiech, rączka wyciągnięta,
Chorągiewka w rączce zmięta,
Wszystko, czego nie zrozumie,
Wszystko, co od dzisiaj umię
I na jutro zapamięta.

Niech się święci I maj!
Spiew wysoki i obłoki,
Plusk wiślanej tali czystej,
Nogi młode i sprężyste,
Uścisk dłoni, kroki, kroki —
I z serdecznej dali mgliste
Ból daleki i głęboki.

STEFAN ARSKI

Ich racja stanu i nasza...

bociem i uwiadom swego przemysłu, charakterem i ruiną rolnictwa. Tzw. cykle koniunkturalne właściwe gospodarce kapitalistycznej, miały w Polsce przebieg niezwykle uproszczony: od zastoju przechodziliśmy do kryzysu i od kryzysu do zastoju. W sumie — dwadzieścia lat rządów polskiej burżuazji w dziedzinie gospodarczej dało zdumiewający efekt cofnięcia się kraju poniżej poziomu z roku... 1913. Świadczyły o tym liczby produkcji stały o 200 tysięcy ton mniej niż w roku 1913, węgla (o 5 milionów ton mniej niż w roku 1913) surowicy (o 400 tysięcy ton mniej niż w roku 1913) i masy tekstylnej (o 8 milionów ton mniej niż w roku 1913) — czwarta część ludności uznanych za „zbędnych” na wsi, czyli wyrzuconych poza nawias życia gospodarczego kraju.

Jest w gruncie rzeczy sprawa obywatela, czy klasy panującej i ludzkiej i ich ramienia rządzący Polską ówczesną, zdawali sobie sprawę z rezultatów „mocarstwowej polityki”, uprawianej beztrudno na skórze narodu polskiego.

Jest tak — byli szajką pospolicznych zdrajców. Jeśli nie — zagrają niepospolicznymi durniow. Nie popełniły ośmieszających, jeśli stwierdzimy, że byli i jednym i drugim. Ostatecznie bowiem pchali kraj ku straszliwej katastrofie. Jej załaski posiali w samym zaraniu niepodległości, pielegnowali przez całe dwadzieścia lat. Tragiczne zniwo zbierało trzydziestą kłosa minionych ludzi, rzuconych we wzruszeniu na łup niemieckiego najeźdźcy. Niekierowność zdrajców i durniów rządzących klęka uwydatniła się w tamtych umach z niesłychaną wyrazistością. Po prostu — uciekli. Ale uciekając — nie uronili nic ze swego „dorobku”.

W Paryżu, Angers, Londynie — na zachodniej emigracji — zebrała się ta szajka zdrajców z tymi samymi intencjami. Guy się wertuje kartki prasy emigracyjnej i teksty wszelkich deklaracji politycznych stronnictw, grup i klik emigracyjnych z lat 1939 do 1945 — dreszcz przeczucia człowieka na myśli, jaki los zgłotany ci ludzie Polsce, gdyby raz jeszcze udało im się osiągnąć po wadze. Mówimy tylko o latach 1939 — 1945, pomijając to wszystko, co wyszło z ust i spod pier emigracyjnych szumowin po wywołaniu Polski. Wtedy bowiem, w okresie wojennym, kiedy jeszcze ludzie się szanowali powrotu — starali się przecież zachować jakieś takie pozory przyzwoitości. A mimo to z całym bezwstydem przyznawali, że celem ich jest powrót do tamtych przedwojennych lat.

„Cele wojenne” reakcji polskiej na emigracji były niezmiennie proste: zapewnić sobie powrót do władzy w powojennej Polsce. A to znaczyło związanie się z siłami najczarniejszej reakcji. A to znaczyło głoszenie najreakcyjniejszych hasel i postulatów politycznych. Reakcja polska w tych latach mówiła o „dwóch wrogach”, myślała zawsze tylko o jednym — o związku Radzieckim. Nie darmo powiadano o wodzach polskiej emigracji reakcyjnej, że tylko przez nieporozumienie znaleźli się w obozie walki z Hitlerem. Sercem i duszą byli po tamtej stronie. Po stronie „Trzeciej Rzeszy”.

Nie tylko zresztą sercem. Czyniami i polityką także. Świadczy o tym zarówno to, co działo się na emigracji, jak i to, co działo się w kraju. Tu działała ekspozytura londyńska — „delegatura rządu” i dowództwo Armii Krajowej. Z bezprzykładnym cynizmem góra krajowej konspiracji pro-londyńskiej wyżytkowała nieświadomość patriotycznej i bohaterkiej masy żołnierzy AK oraz członków podziemnych organizacji politycznych, którzy palili się do walki z okupantem i gotowi byli życie oddać za sprawę. W historii ruchów konspiracyjnych Polski, w które dzieje nasze tak obfitowały, nie było przykładu równie nikczemnego nadużycia zaufania, jak to, którego dopuściło się kierownictwo londyńskiego podziemia w stosunku do ogromnych rzesz swych podkomendnych. Krańcowym wyrazem tej polityki było powstanie warszawskie.

Wywołanie na rozkaz Londynu — stało się grobem dziesiątków tysięcy najlepszych patriotów, wyrokiem śmierci dla stolicy polskiej. Dziś, po latach dziesięciu, emigracyjny pismak z cynizmem wyznaje na łamach paryskiej „Kultury”: „Powstanie, które rozpoczęło się z upoważnienia premiera Mikołajczyka... było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Sowietaom, demonstracyjnie przeciwko Anglosasom, a faktycznie przeciwko Polsce”.

W zapale klikowych rozrachunków emigracyjnych autor tych cynicznych słów usiłuje całą winę przypisać Mikołajczykowi. Udział i odpowiedzialność Mikołajczyka w tej zbrodni są bezsporne. Ale fakty i dokumenty, znane nam dziś, w równej mierze obciążają Sosnkowskiego, który dowodził powstaniem z dalekiej bazy we Włoszech, Kwapińskiego (z WRN), który w Londynie sekundował jako wicepremier Mikołajczykowi, Bieleckiego i Berezowskiego (z endecji), którzy parli do powstania z równą energią — wszystkich emigracyjnych wodzów, łączonych tą samą myślą politycznej roszkryki przeciwko ZSRR i przeciwko obozowi patriotów polskich, którzy chcieli innej, nowej, wojennej i sprawiedliwej a nade wszystko zdolnej do życia Polski. I dlatego powstanie warszawskie skierowane było przeciw Polsce!

Powstanie warszawskie było ukoronowaniem wojennej polityki reakcji polskiej w kraju i na emigracji. Zwrotną była ta polityka ku uratowaniu władztwa polskich obszarników i kapitalistów. A tym samym zwrotną przeciwko obozowi niepodległościowemu, który wznosił w kraju i na emigracji radzieckiej chorągiew walki o Polskę Ludową. Organizatorem tej walki w kraju stała się Polska Partia Robotnicza, na ziemi radzieckiej — Związek Patriotów Polskich. Nie było oszczędzania ani nikczemności, przed którymi reakcja polska cofnęła się w walce z obozem ludowo - niepodległościowym. Nie należy się temu dziwić. Reakcja wszystkich krajów we wszystkich czasach stosowała najbardziej nikczemne metody w walce z wywołanymi ruchami ludowymi. Reakcja polska nie pozostała w tyle. Niemylim insygnium klasowym wyznaczała, że oto znalazła się siła polityczna, zdolna do realizacji hasel, które od przeszło wieku głosił oboz demokracji polskiej, ale których nigdy przedtem nie potrafił i nie mógł urzeczywistnić.

Koncepcja polityczna, której realizację podjął oboz niepodległościowy z KRN w kraju i ZPP w Związku Radzieckim na czele — duszą zaś obu były polscy komuniści — była na wskroś rewolucyjna. Kładła kres panowaniu burżuazji i obszarnictwa w Polsce, tym samym zaś zamykała raz na zawsze dostęp do kraju obcym imperializmom. Władza w wyzwolonej Polsce należeć miała do ludu. Kierownictwo w niej decydowało o losach narodu przejmowała klasa robotnicza. Interes klasowy mas pracujących stał się identyczny z interesem narodowym narodu polskiego. Tym samym wytworzył się najtrwalszy fundament odrzucenia państwa polskiego, wskrzeszonego w lipcu 1944 roku Manifestem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Twórcy tej koncepcji rewolucyjnej — komuniści polscy — pozostali wierni tradycji obozu demokracji polskiej, który ustami Kościuszki i Jakuba Jasińskiego, przywódców Towarzystwa Demokratycznego i „czerwonych” powstania styczniowego, Ludwika Waryńskiego i Feliksa Dzierżyńskiego uczył, iż los Polski związany jest nieodmiennie z losami postępu i rewolucji w Europie. Logicznym wnioskiem z tej nauki było związanie Polski wyzwalającej się spod okupacji hitlerowskiej z ośrodkiem sił postępu i rewolucji w Europie współczesnej — z Związkiem Radzieckim. Ze tego wymagała narodowa racja stanu Polski — było widoczne już w roku 1918. Ale egoizm klasowy polskiej burżuazji i obszarnictwa pchnął wtedy losy kraju w wręcz odwrotnym kierunku — do obozu reakcji i kontrrewolucji, który z czasem przybrał postać faszystów. A to oznaczało w konsekwencji zniweczenie niepodległego bytu państwowego.

Oboz demokracji polskiej, który w latach drugiej wojny światowej pod przywództwem Polskiej Partii Robotniczej wziął na siebie realizację polskiej racji stanu, doprowadził walkę do zwycięskiego końca. Polska wyszła z wojny zwycięsko, jako kraj nie tylko niepodległy, ale i wolny od pęt kapitalizmu. Nadużywane często słowo p r z e i o m tu jest w pełni na miejscu. W historii Polski był to przełom w całym tego słowa znaczeniu. Już sam fakt, że Polska powróciła w chwili oswobodzenia w dawne, historyczne granice, nad Odrą i Nysą był wydarzeniem wręcz epokowym.

Zabawnym przyczynkiem do dziejów „myśli politycznej” reakcyjnej emigracji polskiej będzie przypomnienie mało na ogół znanego faktu,

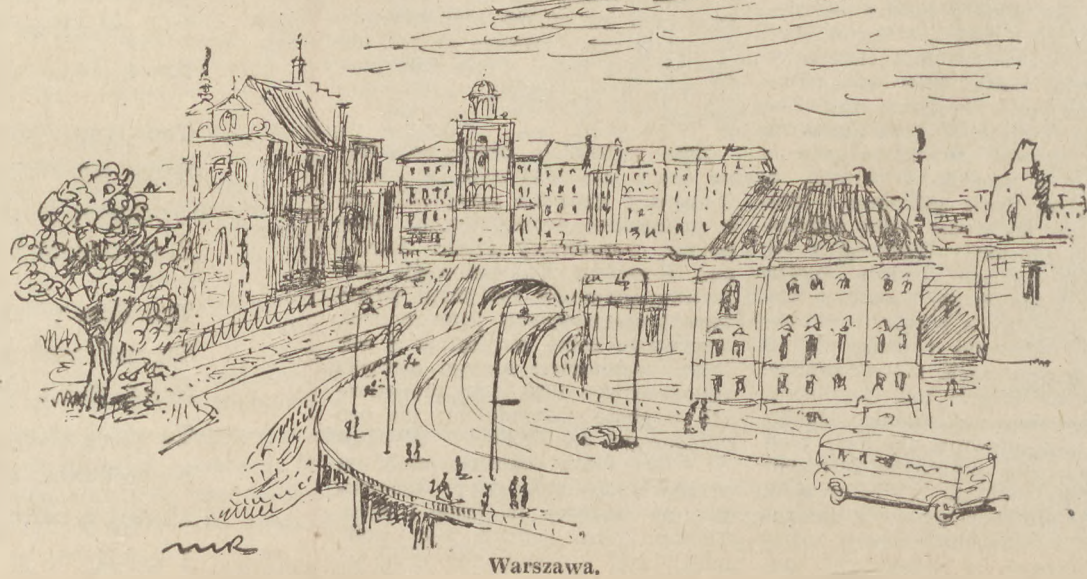
że w jej archiwach znajduje się wymowny dokument, opracowany przez „ministerstwo spraw kongresowych”. Była taka placówka o dejej nazwie w Londynie, gdzie opracowywano „postulaty polskie na konferencję pokojową”. Rezultatem było kilka „tajnych memoriałów” rozsyłanych rządowi zachodnim. Wśród nich — „memoriał w sprawie niemieckiej”. Zajmował się on jednak głównie jednym jedynym problemem: stosunkiem do... ZSRR. Autorzy memoriału domagali się w nim „stanowczo”, by mocarstwa zachodnie „w żadnym wypadku nie dopuściły do udziału w okupacji Niemiec wojsk radzieckich”, albowiem „rząd polski” nie zgodzi się „nigdy” na to, by „wojska sowieckie stacjonowały na zachod od granic Polski”. Dokument ten, to skrot całej myśli — o ile słowo to ma tu w ogóle zastosowanie — politycznej obozu reakcji polskiej. Absurdalność jej postulatów idzie tu w zawody ze zdrajcą narodową. Z perspektywy dnia dzisiejszego wiemy, co by to oznaczało: nad zachodnią granicą Polski mielibyśmy nie Niemiec Republikę Demokratyczną, lecz jednolite Niemcy adenaue-rowskie, a przy tym dawno już zremilitaryzowane. I to nie nad granicą Odry i Nysy, albowiem reakcja na emigracji polska była jej zdecydowanym przeciwnikiem. Od WRN-owca Arciszewskiego po faszystę Andersa — emigracja polska zwałowała i zwałowała naszą obecną granicę zachodnią. Pogrobowcy wrzesnia cniejący więc nie tylko Polski ob- szarnictwo - kapitalistycznej, ale Pol- ski stojącej znowu otworem dla rzeźników „Grossdeutschland” i „Drang nach Osten”...

Na szczęście, to właśnie Armia Radziecka zaatakowała sztabary zwi- cęściwa na Brandenburskiej Bramie i w ruinach kancelarii Rzeszy. Na szczęście ona to właśnie odrzuciła siły „Drang nach Osten” poza Łabę, i dzięki niej pierwsze w historii pokojowe i demokratyczne państwo nie- mieckie — NRD — wyrosło u zachodnich granic Polski, pociągniętych wzduż Odry, Nysy i Baltyku. I gdyby tylko to było owocem nowej polityki polskiej, opartej na przyjaźni i sojuszu z ZSRR, już by- łąby to wielkopomną zasługą dla narodu i państwa polskiego. A prze- cież oparcie Polski na Odrze, Nysie i Baltyku było dopiero początkiem wszystkich dalszych przemian w życiu naszego kraju.

We wrześniu roku 1939 słaba i bezbronna Polska, pozbawiona so- juszników, mogących jej przysze z realną pomocą, w granicach nie- możliwych do obrony znalazła się w obliczu potężnego wroga. Dziś Polska, otoczona ze wszech stron przyjaciółmi i so- jusznikami, jest składową częścią o- bozu pokoju i postępu, obejmujące- go jedną trzecią całej ludzkości, roz- ciągniętego się od Łaby po wybrze- ża Oceanu Spokojnego. Dzieje nie znają tak potężnej koalicji, zbudow- anej wokół hasła obrony pokoju. O sile tej koalicji i atrakcyjności jej hasel politycznych świadczyć choćby wydarzenia polityczne ostatniej do- by. To, co zaszło w Europie i Azji w krótkim okresie od Konferencji Berlińskiej do Konferencji Genew- skiej i podczas jej trwania jest wy- mownym dowodem wewnętrznych trudności obozu imperializmu i o- brzyźmego przesunięcia w układzie sił międzynarodowych na niekorzyść awanturniczych kół amerykańskich a na korzyść narodów pokój miłują- cych. Dla każdego z nas poczucie przynależności do potężnej koalicji sił pokoju stało się tak oczywiste, jak to, że oddychamy powietrzem. Ale dlatego nie zdajemy sobie często sprawy, jak wielkim był przełom lipcowy roku 1944, który postawił Polskę w kręgu państw tego obozu. Przypatrzmy się tylko ciężkiej walce, jaką od lat toczyć musi naród francuski, by móc złapać oddech i rozluźnić nieco dławiące kleszcze po- lityki amerykańskiej — wtedy u- świadomimy sobie lepiej, od czego uratował nas lipiec roku czterdzie- stego czwartego.

Tak się złożyło, że obchodzimy w tym roku dziesięciolecie narodzin Polski Ludowej i piętnastolecie ka- tastrofy wrześniowej. Dwie rocznice — radosna lipcowa i tragiczna wrze- śniowa — pozwalają nam w sposób bardzo plastyczny skonfrontować dwie racje stanu: tamtą — przed- wrześniową — rację stanu polskiej burżuazji, która doprowadziła do katastrofy i tę, polipcową, rację sta- nu polskich mas pracujących, które ujmując w swe ręce władzę wpro- wadziły Polskę na szlak socjalizmu, postępu i rozkwitu.

Stefan Arski



Warszawa.

Rys. Marek Rudnicki

LEOPOLD STAFF

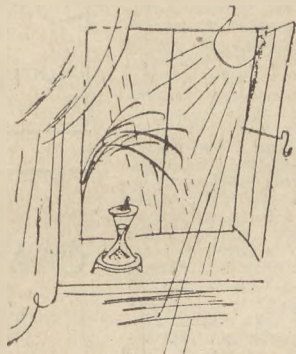
Nowe wiersze

Świt

Noc była piękna, ale noc,
A jemu się zachciało blasku,
Choć w niebie gwiazd świeciło moc
Jak oceanicznego piasku.

Skorzystał z pierwszej sposobności,
Z pozoru planetarnej trwogi,
Gdy księżyc, w złości czy z miłości,
Chciał śliczną chmurkę wziąć na rogi.

Więc zarzucił sobie niebo na plecy
Jak worek pełen gwiazd
I uciekł Co wynikło z tej hecy,
Świergocą ptaki budzących się gniazd.



Paganini:

„Gdyby można napisać Westchnienie
Do zmierzchu i zachodnich tun
I zagrać je zupełnie bez strun,
To byłoby najczystsze wcielenie
Tego, co nigdy się nie wciela,
Najsmutniejszego duszy mej wesela.“

Tolstoj

Tolstoj uciekł od smutku,
Miał wszystko, więc nie miał nic.
Idę radośnie w skwarze dróg,
Właściciel swego cienia.

Wiek

Dłaczego — pytasz mnie —
Śmiałeś się wczoraj,
A dziś masz chmurę na czole?
Przecież wczoraj deszcz padał,
A dziś jest tak piękna pogoda.
— Tak, czasem mam lat cztery,
A czasem cztery tysiące.

Mowa

Nie trzeba rozumieć śpiewu słowika,
Aby się nim zachwycić.
Nie trzeba rozumieć kumkania żab,
Aby się nim upajać.
Rozumiem mowę ludzką,
W której są słowa obłudne, co kłamią.
Gdybym jej nie rozumiał,
Byłbym największym poetą.



Scherzo

Śpiewają w zachwycie słowiki,
Wniebowzięte, żyjące klawisze,
Głaskane przez gałązkę bzu
Dźwięczną jak Hesse Bukowskiej ręka,
Za którą prowadzi pachnącą muzykę
Wiecznie niespodziewany Fryderyk.

Odys

Niech cię nie niepokoja
Cierpienia twe i błędy.
Wszędy są drogi proste,
Lecz i manowce są wszędy.
O to chodzi jedynie,
By naprzód wciąż iść śmiało,
Bo zawsze się dochodzi
Gdzie indziej, niż się chciało.

Zostanie kamień z napisem:
Tu leży taki a taki.
Każdy z nas jest Odysem,
Co wraca do swej Itaki.



Przebudzenie

Jest świt,
Ale nie jest jasno.
Jestem na pół zbudzony,
A dokoła nieład.
Coś trzeba związać,
Coś trzeba złączyć,
Rozstrzygnąć coś.
Nic nie wiem.
Nie mogę znaleźć butów,
Nie mogę znaleźć siebie.
Boł mnie głowa.



Natchnienie

To nie głos Ducha świętego z wysoka,
Lecz nagła burza krwi w żyłach!
Gdy ci w rękach i w nogach puls dziko uderzy,
Wzmóż się zawrotnie na siłach.

Przelatując chwyć w dłoń błyskawicę,
Rzuć się wichrowi na szyję
I śmieć się jak dziewczyna, kiedy o trzy kroki
Piorun się w ziemię zaryje.

Rysunki Z. Lengrena

Powrót do Lublina

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dni w swojej maszynie jak w cygańskim namiocie, nie narzeka na wędrowny żywot. Ciekawe jest to życie, a to już nie mało. Kiedy wyskakuje na chłbie, by napić się wody, wygląda niemal elegancko w swoim roboczym drellichowym kombinezonie. Przyjemnie patrzeć jak ukryty w głębi, za kierownicą, umiejętnie kieruje żelaznym cieleciem maszyny. Potężnymi gąsienicami zagarnia i pcha przed sobą koparką wał wilgotnej ziemi wysoki jak spiętrzona fala, kolebie się i przewala ciężko na boki, pokonuje nierówności terenu. Przy zboczach, jak nad przepaścią, staje na chwilę dęba i zapada się ostro, ukazując grzbiet. Jest to za każdym razem moment równie groźny. Zdaje się, że kołos runie z góry, ale on dźwiga się pewnie choć ciężko i wyrównując poziom wciąż nowych kilku metrów ziemi cofa się tyłem jak olbrzymi krab. Wzgórza zamkowe, na którym pracuje maszyna — od przeszło stu dwudziestu lat nie widziało ludzi wolnych, o spojrzeniu niezatartym troską lub przerażeniem. Na miejscu po dawnym piastowskim zamku władze carskie wzniosły tu warowne więzienie, górujące z nasypu nad tą częścią miasta. Tu więziony był Marian Buczek, który w pamięci współtowarzyszy pozostawił wspomnienie człowieka, co w najtrudniejszych więziennych sytuacjach potrafił znaleźć drogę do ludzi i służyć im radą podyktowaną doświadczeniami lat spędzonych w celi. To było miejsce hitlerowskiej kazi i krwawej masakry więźniów dokonanej przez Niemców tuż przed ucieczką z Lublina, na kilka godzin przed wejściem I Armii i wojsk radzieckich.

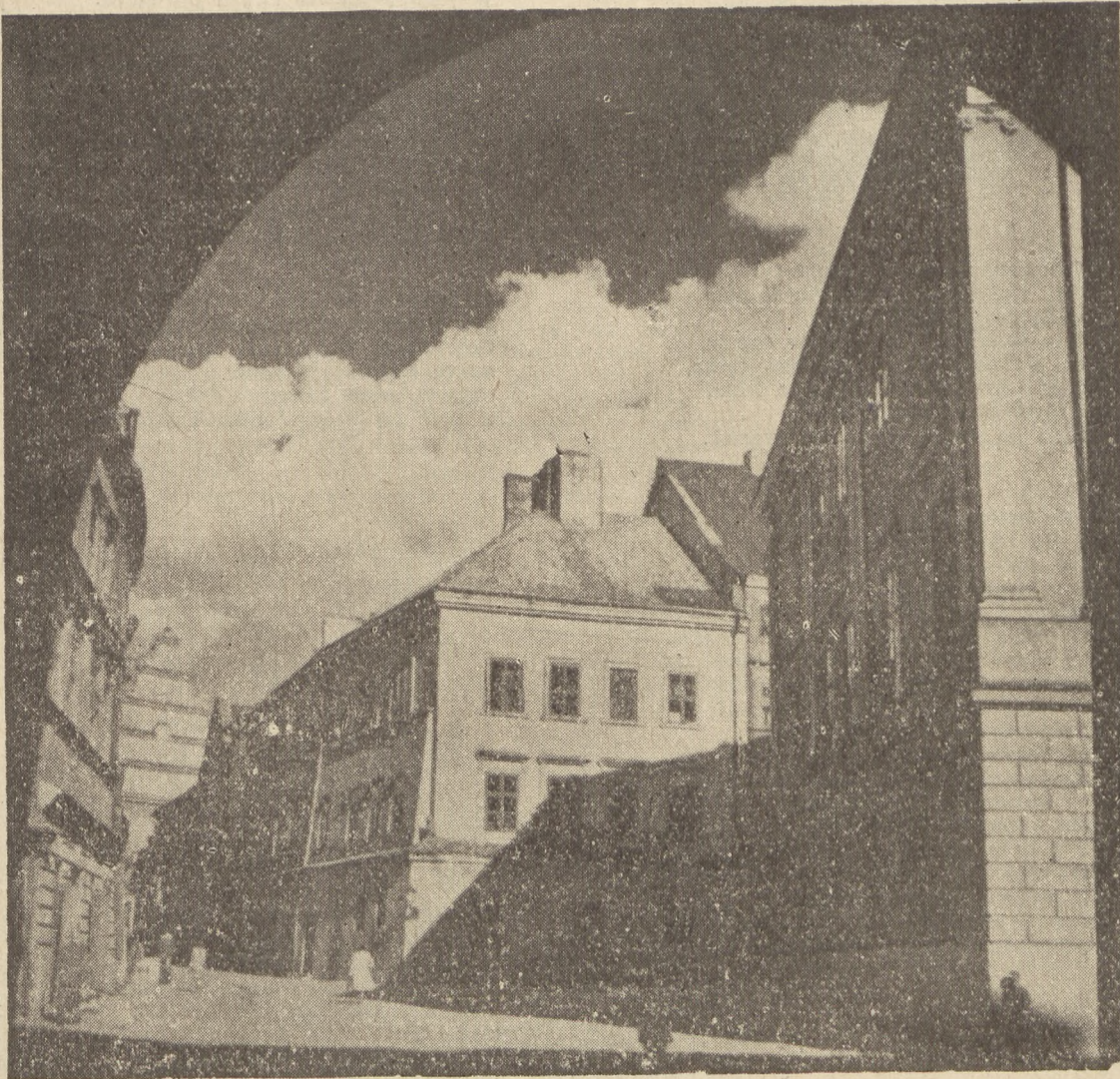
Robotnicy zatrudnieni przy pracach na zamku rozbijają otaczający go mur, rezwalają ciemne cele, wtargnęli na korytarze, by przegonić koszmarny miniony dzień. W tym wnętrzu powstanie wkrótce muzeum i dom kultury.

Na zboczach, pod pracującą wciąż uparcie koparką pojawiła się teraz część brygady z drugiej zmiany. Przez dziki koper, liście bobkowe i

trawę syją się z góry kamienie z oczyszczanego nasypu, na którym stoi zamek. Gdzieś tam zieleni się już świeża darnina, kilka przesadzonych niedawno z lasu kilkuletnich brzoźek urozmaica gładką pochyłość.

Ze wzgórza zamkowego szeroki jest widok na Lublin i okolice. Tuż u podnóża — tereny wystawy rolniczej z drewnianymi rusztowaniami pawilonów, dalej okrągłe korony drzew owocowych w ogrodzie kanoniczek i szeroka siekanina ogródków działkowych z latanymi papą daszkami budek. Na horyzoncie wyraźnie odcinają się trzy szare graniastosłupy elektrowni, kominy, ciężki blok nowego osiedla mieszkaniowego na Bronowicach. Prowadząc dalej palcem po widnokręgu natrafiamy na obszary zajęte przez pierwszą w Polsce fabrykę samochodów ciężarowych — dumę nowego Lublina i nowoczesne budynki cukrowni. Naprzeciw zamku iętrzy się wysoko sklepione wzgórze Starego Miasta, rozciągające z przeciwnym wzgórzem jak równy z równym, a tak gęsto zabudowane, że na pierwszy rzut oka wygląda jak masyw jednej, bogato uformowanej budowli. Dopiero potem, przenosząc wzrok po ostrym zboczach powyżej krętej linii Podwala musującego zielenią bujnych ogrodów — rozróżniamy białą ścianę obronnego niegdyś klasztoru dominikanów, przykrytego zaśniedziałym hełmem, dalej ciemny czub wieży Trynitarzkiej, czerwone, z dachówek i blaszane dachy domów. Niżej, u stóp tych domów i u stóp zamku jaśniej gładka płyta placu zebrania obramowana półkołem wznieszonego osiedla. Tu, gdzie dziś usypało plac, przygotowano teren do wystawy i wzniesiono osiedle, było niegdyś retto, wyburzone potem doszczętnie przez Niemców.

Po upalnym dniu niebo nad miastem jest żółtawo-szare. Na chwilę wybliska na nim nieprzyjemne, jakby nadgłone słońce, którego jaśkrawy odbłask na pnących się w górę dachach parzy oczy. Potem



Fot. E. Hartwig

wszystko gaśnie i teraz dopiero widać wyraźnie siwo-niebieskie dymki z kominów i ostro bijący dym małego parowoziku kolejki załadowanej materiałem budowlanym. Ściemnia się. Luną nagle deszcz i sypie się przez zasłonę ceglanego pyłu, który wydobywa się z bramy zamku. Przedrzeżniając słońce, błyska zjadliwym oczkiem jedna nieustraszona żarówka na dachu

przy ulicy Grodzkiej. Tak, to dach domu, w którym przed odmalowaniem wzmocnić się będzie nadwężone wiekiem fundamenty.

Tą właśnie ulicą Grodzką, biegnącą od starego rynku spadziście w dół ku podgrodziu, najprzyjemniej jest w czasie trwających przy odbudowie prac — chodzić rankami. Wygląda ona wtedy jak słoneczny wąwóz, jasna, jaśniutka, cała w

bielach i niebieskościach. Wszędzie tu nałożono już barwne pastelowe tynki, jezdnia wilgotna jest od wody suto lanej do zaprawy murarskiej. Cała przestrzeń mieni się chłodnymi cieniami rusztowań. Domy w tych rusztowaniach wyglądają jak zwierzęta osaczone w sieciach. Przez otwarte korytarze prześwitują ogrody Podwala. Ulicą Grodzką, tam i z powrotem krę-

cą się majstrowie, inżynierowie, murarze i cieśle. Raz po raz zagląda tu ktoś z plastyków, którzy główny swój sztab założyli w ratuszu i drewnianym baraku na przeciw kamienicy Sobieskich. W pracowni na ratuszu malarze-projektanci prowadzą ostatnie pociągnięcia węglem na kartonach naturalnej wielkości, które przeniesione będą z kolei na kamienice w Rynku. Ila dole w baraku, jak w sklepie z farbami czy w aptece, waga się — i to najdosłowniej, bo na dokładnej wadze — sprawy najsubtelniejszych odcieni barwnego tynku, który kłaść będą z kolei tynkarze na odnawiane kamieniczki. Malarze i malarki, ubrani w fartuchy i kombinezony, podobnie jak tynkarze czy murarze tylko ze śmielszymi dodatkami barwnych chustek i bluz — krzątają się zachłapani farbą od beczek z barwnymi proszkami do wagi, zapisują recepty na tynki, przygotowują próbne cegiełki, robią na nich palcem pierwsze próby sgrafitta. Dziś siatki tych cegiełek suszą się w słońcu na skrzyniach przed rusztowaniem, z którego raz po raz syple się z góry gruz i pył. Z szopy stojącej obok dochodzi dźwięczny odgłos kamieniarskich narzędzi, tam pod kierunkiem konserwatorów odnawia się i uzupełnia rzeźby do kamienicy Sobieskich. Robota wre równocześnie na wszystkich frontach odbudowy. Przy Bramie Krakowskiej wznosi się od nowa, od fundamentów, kilka zburzonych przez niemieckie bomby kamieniczek; ściany ich nie przykryte były jeszcze dachem w tych dniach czerwcowych, a na 22 lipca barwić się już będą świeżymi tynkami, niektóre nawet freskiem lub sgraffitem. Kamieniczki w Rynku, stare zabytkowe kamieniczki renesansowe, barokowe i klasycystyczne, o trzymają nowe elewacje zaprojektowane przez zespół plastyków warszawskich i lubelskich. Podobnie ulica Grodzka, pomyślana zresztą skromniej niż domy w Rynku, mniej zdobiona, utrzymana w tonacji chłodnej, inaczej niż rynek, który bę-

(Dokończenie na str. 4)

LEOPOLD INFELD

STANISŁAW LEM

CZŁOWIEK USTOKROTNIONY

To dopiero — początek

Dzisiaj świat cały wie, że pierwszy reaktor atomowy, zdolny do produkcji energii elektrycznej, dla celów przemysłowych, skonstruowany został w Związku Radzieckim.

Nasuwać się pytania:

Na czym polega techniczna i teoretyczna wartość tego wyczynu? Jaka jest zasada budowy takiego reaktora atomowego i dlaczego tak trudno go skonstruować? Jak budowa tych reaktorów wpłynie na rozwój techniki? Dlaczego Związek Radziecki był pierwszym, który skonstruował pierwszy reaktor dla celów przemysłowych?

*

W życiu operujemy dwoma bardzo ważnymi pojęciami, które fizyka przejmie i uściśli. Są to: **praca i energia**. Zadowolimy się tutaj niemal znaczeniem tych słów, jakie nadajemy im w mowie potocznej. A więc pracuje, gdy pisze czy mruzie powieki. Znacznie większą pracę wykonują maszyna parowa w elektrowni. Źródłem tej pracy jest węgiel, który się spala i ogrzewa wodę. Dzięki prężności pary wodnej obracają się koła maszyny. Ten ruch produkuje prąd elektryczny, który z kolei obraca motory naszych fabryk lub ogrzewa i oświetla nasze domy. Tak więc mówimy, że energia **chemiczna** węgla zamienia się na energię prężności pary, ta na energię mechaniczną maszyny parowej, ta znowu na energię elektryczną prądu, która zamienia się z kolei na energię mechaniczną naszych maszyn fabrycznych, lub na energię cieplną i promienistą naszych pieców i żarówek. Przródłem tych wszystkich energii jest więc energia chemiczna węgla, lub benzyny, lub ropy naftowej, albo dynamitu. W wypadku wybuchu dynamitu owa energia zamienia się na ciepło w sposób nagły, spontaniczny, nie kontrolowany. W wypadku węgla, lub benzyny, albo ropy naftowej, jest owa zamiana kontrolowana i opanowana przez człowieka. Niemal zawsze energia technicznie pożyteczna jest energią tego właśnie rodzaju, energią zamieniającą się na energię cieplną, stwarzającą stałą temperaturę wyższą od temperatury otoczenia. Im temperatura wyższa, tym ekonomiczniej możemy energię tę użytkować technicznie. Krótko mówiąc: **użytkowanie techniczne energii chemicznej polega na kontrolowanym użytkowaniu różnic temperatury.**

A jak się ma sprawa z energią atomową?

Pytanie jest źle sformułowane, bo energia chemiczna jest również energią atomową. Tylko że tam, tj. w wypadku energii chemicznej występują zmiany na peryferiach atomu, a w wypadku energii, którą niesłusznie nazywamy atomową, występują one w samym sercu atomu, w jego **jądrze**. Śluszniejszą więc byłaby nazwa „**energii jądrowej**”. Otóż te zmiany w jądrze dają energię **miliony razy silniejszą** od zmian na peryferiach atomu, od zmian chemicznych. Stąd ta ogromna potęga źródeł energii jądrowej; stąd te ogromne trudności techniczne związane z budową reaktora, źródła energii jądrowej.

Zasadniczo jednak istnieje podobieństwo pomiędzy energią chemiczną, a (wracając do starych przyjętych nazw) atomową. Różnice są głównie ilościowe, ale tak olbrzymie, że tutaj ilość przechodzi w jakość.

A więc i w wypadku energii atomowej mamy przemiany spontaniczne niekontrolowane przez nikogo. Czym dla energii chemicznej jest proch strzelniczy, dynamit, tym dla energii atomowej jest bomba atomowa. Czym dla energii chemicznej jest maszyna parowa, tym dla energii atomowej jest reaktor atomowy. Tak jak w maszynie parowej źródłem energii jest węgiel, tak w reaktorze atomowym źródłem energii jest **uran**. Ale, że to źródło jest miliony razy silniejsze, więc małe stosunkowo ilości „paliwa” uranowego wystarczą na długie lata. Stąd wniosek pierwszy: budowa reaktora atomowego zmniejsza niemal do zera koszty i trudności transportu paliwa. Stąd dalszy wniosek: energia atomowa ma ogromne znaczenie dla krajów ubogich w pokłady węgla i ropy naftowej; albo dla krajów (jak Anglia), w których pokłady te wkrótce się wyczerpią; albo dla krajów o złym kolejnictwie i złych drogach; albo wreszcie dla krajów rozciągających się do bieguna (ZSRR, Kanada) i starających się uprzemysłowić swoje północne rejony.

Patrzmy jednak dalej — w przyszłość. Pokłady węgla i ropy na ziemi naszej nie są niewyczerpalne. Uran natomiast, nawet przy obecnej technice budowy reaktorów starczy na znacznie dłuższe lata, bo wykorzystanie energii atomowej jest milion razy korzystniejsze niż wykorzystanie energii chemicznej.

Trudności techniczne budowania reaktorów są olbrzymie, ale wiemy, od czasu istnienia stosów atomowych, że ten problem może być

rozwiązany i to na różne sposoby. Przede wszystkim, aby takie reaktory były wydajne technicznie, muszą one działać w temperaturach możliwie wysokich. To znaczy, że musimy pokonać trudności znalezienia materiałów, które nadają się z punktu widzenia jądrowego i równocześnie będą wytrzymałe na wysokie temperatury. Dalej: jeżeli taki reaktor zaczyna działać, to wszystkie jego istotne części stają się tak radioaktywne, że zbliżenie się jakiegokolwiek istoty zagraża jej życiu. Wobec tego reaktor atomowy musi być kontrolowany, obsługiwany, z daleka za pomocą maszyn. Następnie: reaktory muszą być otoczone ścianą cementową tak grubą, aby zahamowała działanie promieniowania radioaktywnego. Wreszcie: Problem nie kończy się na budowie samego reaktora atomowego. Winna być z nim związana fabryka chemiczna, która zająć się musi produktami powstałymi przy „spalaniu” uranu. Owa fabryka chemiczna też musi być kontrolowana i operowana mechanicznie z daleka. Niektóre typy reaktora potrzebują dodatkowych fabryk, produkujących ciężką wodę — bardzo trudne zadanie; inne znowu — urządzać dla produkcji t.zw. „wzbogaconego” uranu, t.zn. uranu, który zawiera większą liczbę atomów U. 235, niż jeden na 140. (Pomijamy z konieczności wyjaśnienie ostatniego zdania, gdyż zaprowadziłoby nas to zbyt daleko). Jest wreszcie problem usunięcia szkodliwych dla zdrowia materiałów „spaleniowych” radioaktywnych. Oto poważne trudności techniczne, które musiały zostać pokonane zanim pierwszy, skromny zresztą, reaktor pracujący dla celów przemysłowych został zbudowany.

Ów pierwszy reaktor, to początek. Już teraz Związek Radziecki planuje budowę reaktorów 10 i 20 razy silniejszych, aniżeli ten, który zbudowano. Prawdopodobnie za 10 do 20 lat będzie ich pełno na naszej kuli ziemskiej; źródeł energii wolnych od dowozu paliwa, wydajnych, wygodnych i tanich.

Pomimo tego, że zarówno USA, jak Wielka Brytania budują taki reaktor dla celów przemysłowych, Związek Radziecki wybudował go pierwszy. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że Związek Radziecki ma planowaną politykę kadrową. Ilość fizyków kształcących się i kończących studia każdego roku jest na pewno większa w Związku Radzieckim, aniżeli w USA i w Anglii. Powtóre dlatego, że gospodarka Związku Radzieckiego jest planową, socjalistyczną. To znaczy: Nie ma, jak w Stanach Zjednoczonych prywatnych właścicieli kopalni węgla, ropy, którzy obawiają się konkurencji ze strony energii atomowej i czynią wszystko co można, aby jej rozwój — dla celów przemysłowych — zahamować. Sferę te mają olbrzymie wpływy i wywierają odpowiednio presję na kongres i rząd. Stale odbywają się w krajach tych dyskusje, stale wyskakują w prasie argumenty, wykazujące, że energia atomowa jest zbyt droga, że nie może konkurencji wytrzymać z węglem. Oczywiście cała ta dyskusja, tak charakterystyczna dla świata kapitalistycznego, jest nonsensem. Nie można przewidzieć kosztów energii atomowej, dopóki się nie buduje tych reaktorów, dopóki się nie wie, jak długo będą działały, dopóki się nie zna okresu ich życia. Jasnym jest również, że koszty produkcji zależą od tego, czy budujemy pojedynczy reaktor, czy też budujemy seryjnie. Oczywiście, że koszty spadną niepomierne, gdy zaczniemy budować reaktory masowo. Jest wreszcie i trzeci, najważniejszy powód, dlaczego pierwszy reaktor służący pracy przemysłu zbudowany został w Związku Radzieckim. Podobno w USA planuje się budowę reaktora atomowego jako maszynę poruszającą okręt wojenny. Oto zasadnicza różnica: W USA konstrukcja reaktora atomowego związana jest ze sprawą przygotowań wojennych, a w Związku Radzieckim ze sprawą budownictwa pokojowego.

Leopold Infeld

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

CZERNEK I ANNA

(Fragment poematu)

Źródłiskiem nocy, źródłem rosy
jest księżyc na niebieskiej mapie
Nigdy księżycu latem dosyć
gdy za dnia upał — deszcz nie kapie
wtedy noc dobra księżycowa,
rosa majowa i czerwcową
spada na łąki, grzędy, sady
na młode zboża i rozsady.



Czerwcowe noce! Ciepłe rosy!
Gdy słońce chleb wypieka w polu
waża się urodzają losy.
Gdy dziadek siwy tkwi w zapolu,
na pierwszy wóz z pszenicą czeka,
a gdy przyjadą kłnie — że lekka
i obierając z portek osi
idzie na świeży w sadzie groszek,

Pole szerokie, łączko małe!
Daleki lasie, chłodna woda,
tyś nas poila i kąpała,
ty obdarzyłaś nas urodą.
„Moja uroda po świecie chodzi
i ładnych chłopców za sobą wodzi!”
Tę pieśń śpiewając — tę lub inną
kochasz jak umiesz ziemię rodzinną.
Gasnąc słońce, wschód księżyc!
Pospieszne kroki do dziewczyny,
gdy ojciec panny nas zaszczycał
szczyptą tytoniu — z mecherzyny,
co oznaczało, że przyzwala;
choć nocnych kroków nie pochwała;
Pół nocy snul... o politykach
tyś spał — i panny nie dotykał.
Niewinne noce kawalerskie,
matka różańcem czas odmierzając,
puszczasz do córki oko perskie



Rys. D. Konwicka

Na tropie przyszłości

Jako chłopiec zaczytywałem się w *Jeansie* i *Eddingtonie*. Zulasza w tym ostatnim, z jakim spokojem wyjaśniał mi, że jestem, tak samo jak książka, nad którą się pochylał, tylko obłokiem plasującym elektronów! Imponowała mi obecność obu tych mędrców dla spraw tegoż świata: „każdym” słowem uchodził zeń w pobliże swych gwiazd, skąd cała planeta była ledwo widoczną iskierką na tle wiecznej nocy kosmosu. Poruszając się swobodnie w nieskończoności, poblaził mi patrzył z niej na ziemię, w zamęcie codziennych namiętności, w ciemność chwili dla spojrzenia niebie. Uwierzyłem w bezwzględny spokój, który znalazł w gwiazdach i atomach, w doskonałą i nieprzemijającą mądrość kontemplacji. Wszędzie świat. Ale kilka lat potem oślepiający blask nad Hirosgami padł na umiarkowane i tagodnych mędrców i przemienił go w zastępy grymas.

W każdej epoce istnieje hierarchia nauk; uczeni grupy szczytowej są majestatyczni i godni, ci w dół — niepewni, skłócen, buntowniczy. W pierwszej połowie naszego wieku ową grupę najwyższą tworzyli fizycy, astrofizycy i matematycy. Niekiedy filozofowie twierdzili, że przyczyną takiego zróżnicowania jest stopień dokładności badań. Im bardziej matematyzowana jest jakaś gałąź nauki, tym większa w niej zgodność z prawdą, jasność, a tym samym — tym pewniejsza i bardziej niezłomna postawa badacza. Jest to hipoteza fałszywa. Rzeczywiście przyczyną tego zróżnicowania jest to, że fizyka była neutralna politycznie; sfera działalności gospodarczo-ekonomicznej ludzkości nie zaszła się z działalnością badaczy atomów i gwiazd. Wskutek tego ludzie ci żyli jakby poza społeczeństwem; machina państwa nie brała ich zbyt gwałtownie w swe tryby, niczego nie nakazywało im, ani nie zakazywało, nie pomagano, ale i nie przeszkadzano. Stąd ową olimpijską mędrcość, uśmiałych się sceptycznie na widok gorączkowej, przyziemnej krzątający ludzi interesu. Gdyby owi kapłani czystej nauki lepiej rozumieli historię, przekonaliby się, że sytuacja ich jest chwilowa i względna. W samej rzeczy był czas, kiedy fizyka znajdowała się w położeniu tak trudnym, jak dzisiaj nauki o rozwoju społecznym. Giordano Bruno został spalony na stosie za swą hipotezę wielości światów, a Galileusz stanął przed inkwizycją, bo głosił kulistość Ziemi, policzył kiedyś mit feudalny obywatelski ja płaską, nieruchomą i zawieszoną w centrum Wszechświata. Prawdy, za które przesładowano ich obu, były wówczas tak samo „wywrotowe”, jak twierdzenie współczesnego socjologa, że wojny wynikają z natury kapitalizmu.

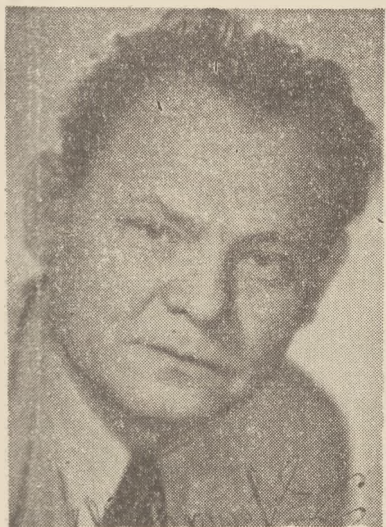
W wieku XIX i XX chemia, niektóre dziedziny biologii, nauki techniczne były już wciągnięte w dziedzinę produkcji, lecz nikt nie oczekiwał dochodowości od badania gwiazd i atomów; to, co nie przysparza zysku, nie ciekawi ludzi interesu, dlatego astronomia i fizyka teoretyczna działały swobodnie. Lecz oto w czasie drugiej wojny światowej fizycy wyszli ze swych laboratoriów z wielkim odkryciem łańcuchowej reakcji rozszczep-

ienia uranu, a wolność, jaką im do tej pory pozostawiono, przepełniła ich taką pewnością siebie, taką wiarą w moc własnego autorytetu, że czuli w sobie Prometeuszów, zstępujących z wyżyn, na której wyrwali niebu ogień wiecznej energii, aby obdarzyć nim ludzkość. Dwie pierwsze stworzone przez nich bomby rozerwały się nad miastami japońskimi ubrew ich wiedzy i woli. Ale ten fakt nie zdolał ich odrębić; tak wielką jest moc subiektywnych przekonań, że skłomili byli uważać go za jakiś „nieporozumienie”, „akt szkodliwego pośpiechu”. Dalej układali plany międzynarodowego porozumienia i kontroli nad przemysłem atomowym, założyli pismo, poświęcone propagowaniu swych postulatów i projektów prawdziwie planowskiej harmonii, która dzięki odkryciom ich zapanała na świecie. Ozywieni najszlachetniejszymi intencjami, drukowali artykuły za artykułami i czekali takłowne, że spokojem, by politycy i generałowie ugięli się przed ich humanitarną mądrością. Czekali długo. W latach następnych wypowiedzi ich stawały się coraz bardziej pesymistyczne; wielu zmieniło postawę prometejską na kassandryczną, wieszcząc światu zagładę, jeśli nie da im posłuchu. Kiedy wreszcie ten czy ów zbyt natarczywie począł żądać poszanowania dzieł i nastawieńczych ideałów swobody jednostki, uczynimi za interesowały się komisje do badania działalności antyamerykańskiej. Nastąpiły badania, szczykany i śledztwa, przez którymi nie chronili ani godność uniwersytecką, ani sławę naukową, ani nawet współudział w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w laboratoriach Duponta nad projektem bomby kobaltowej, zdolnej w jednym wybuchu wysterylizować całą kulę ziemską po dwa oceanów i najgłębsze warstwy atmosfery. Fakt ten jak w soczewce skupia do szczytu doprowadzony absurd współczesnego kapitalizmu: amerykańscy Prometeusze tworzą narzędzie samobójstwa dla ludzkości, a więc i dla siebie samych. Jest to szczytowa zemsta historii na tych, którzy nie chcieli współudziału w odkryciu i utworzeniu bomby atomowej. Dziś ludzie ci ślęczą w

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI:



B odaje w lutym 1927 roku po raz pierwszy w życiu publicznie czytałem swoje wiersze. Było to na wieczorze poetów „Kwadrygi” w Polskim Klubie Artystycznym w Warszawie. Kiedy półprzysłomny z podniecenia złazłem już z maleńkiej estrady żegnany kurtuazyjnymi oklaskami słuchaczy, podszedł do mnie siedzący pod ścianą sali, nieznamy mi jeszcze wtedy osobiście Władysław Broniewski i uściśnawszy mi mocno rękę powiedział kilka życiowych słów o dopiero co przeczytanych przeze mnie utworach. Byłem uszczęśliwiony. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że zmieszany odpowiedziałem mu nieco pretensjonalnie: „Ach! to tylko wątle echo pańskiej muzyki...” A na to Broniewski z wielką serdecznością: „Nie podobnego! To tylko dźwięk wydobyty z tej samej struny!”

Od tamtej pory przez długie lata starałem się nie zdradzić owego dźwięku, dosłyszanego przez świętego rewolucyjnego poetę w pierwszych, kulawych jeszcze próbach adepta sztuki poetyckiej. I do śmierci pozostałem wdzięczny Broniewskiemu za jego tamten piękny gest.

Oczywiście, popełniłem później niejednen błąd, uległem niejednej pomyłce. To prawda. To prawda, że pragnąc służyć swoim piórem i bezpośrednią działalnością klasie robotniczej, z której wyrosłem i narodowi, nie zawsze potrafiłem czynić to najlepiej. To prawda, że od lat chłopięcych uważając się za socjalistę, długo nie umiałem wyciągać wszystkich konsekwencji z mojej młodzieńczej żarliwości dla wielkiej sprawy wyzwolenia człowieka.

W latach międzywojennych bala-mucyli mnie od czasu do czasu liberalistyczne natęgi, którymi jako chłopiec nasiąknęłam w dość postępowej jak na tamte czasy, ale bądź co bądź burżuazyjnej szkole. W latach okupacji i śmiertelnej walki z hitlerowskim najazdem dawałem się uwodzić złudom narodowego solidaryzmu.

Mógłbym tu wytoczyć przeciwko sobie niejedno oskarżenie. Nie o to jednak idzie.

Tu idzie o coś innego.

Jeśli sięgam myślą aż tak głęboko wstecz — to dlatego, że bez takiej retrospekcji niesposób mi dzisiaj odpowiedzieć na najbardziej zasadnicze pytanie: co mi dała Polska Ludowa?

Dniem wyzwolenia i zarazem inauguracji nowego życia w Polsce Ludowej był dla mnie osobiście 5 lutego 1945 roku, kiedy to oddział 6 Dywizji Piechoty i Armii Wojska Polskiego wdarły się na teren obozu jenieckiego Oflag II D — na Wale Pomorskim.

A może jednak ta inauguracja nastąpiła wcześniej?

W kilka dni po wydostaniu się z hitlerowskiego obozu otrzymałem od jednego z oficerów — kościuszkowców egzemplarz średniej wielkości plakatu: **Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego**. U dołu plakatu widniała data: **Chełm, 22 lipca 1944 r.**

Może to dzisiaj zabrzmi nieco patetycznie, nie lekajmy się jednak patosu, gdy idzie o sprawy rzeczywiście wielkie: z najgłębszym wzruszeniem, niemal ze wstrzymanym oddechem zaznajamiałem się w małym zachodnio — pomorskim miasteczku Jastrowie, tuż za linią frontu, z treścią Manifestu PKWN.

Było to w połowie lutego 1945 r. Tak. Stało się dla mnie wówczas rzeczą bezsporną, że oto realizują się marzenia mego dawno zmarłego ojca, warszawskiego robotnicza i milionów takich jak on prostych ludzi w Polsce, że oto idą dni, dla których i ja w minionych latach starałem się w miarę moich wątpliwych sił coś niecoś uczynić.

A więc to nie zawsze dawniej wyraźnie uświadamiane sobie nowe życie zaczynało się dla mnie w dniu 22 lipca 1944 roku.

Nie jestem zbyt sentymentalny. Stare życie zbyt często trzepało mnie po skórze, odczuwając zbędną czułościowość. Mimo to mam zwyczaj, może sentymentalny, przechowywania drobnych pamiątek związanych z bliskimi memu sercu wydarzeniami upłynionych lat. Wśród owych pamiątek posiadam do dzisiaj tamten, poślizgnięty już eze-mplar plakatu z Manifestem PKWN,

ofiarowany mi niegdyś przez przyjaciela — kościuszkowca.

Nowe życie nabrało dla mnie od razu niezwykle gorączkowego charakteru.

Dziś może to nawet wydać się śmieszne, ale chciałem wówczas zajmować się wszystkim — być wszystkim.

W lutym 1945 roku, gdzieś pod koniec miesiąca wróciłem do Warszawy i natychmiast zaciągnąłem się do odrodzonego Wojska Polskiego. Jako korespondent wojenny ówczesnego centralnego organu wojska „Polski Zbrojnej” byłem pod Berlinem. Pisywałem do wszystkich gazet, jakie w tamtym czasie wychodziły. Wiersze i artykuły. Zajmowałem się ruchem świetlicowym. Byłem nawet przez pewien czas kierownikiem artystycznym Centralnego Robotniczego Domu Kultury w Łodzi. Występowałem na wieczorach poetyckich. Pętałem się z obłąkańczym zapalem wokół teatrów. Uczestniczyłem w pracach organizacyjnych Związku Literatów Polskich.

Brąłem się za wszystko.

Wygłaszałem przemówienia na wiecach, konferencjach i zjazdach. Kręciłem się wszędzie, gdzie mnie nie posiano. W wojsku zrobiłem zawrotną karierę: zostałem majorem. Mało mi było tego. Służąc w armii, jednocześnie wzięłem się do roboty w jednym z wydawnictw. Wstyd się przyznać, ale bądźmy do końca szczerzy: przez pewien czas miałem bardzo niepoważną chętkę zostania... ministrem kultury. Całe szczęście, że nikomu nie przyszło do głowy serio potraktować to moje pragnienie i zadośćuczynić moim, krótkotrwałym zresztą i na ogół skrywanym zamysłom pokierowania organizacją życia kulturalnego w nowej Polsce.

Chłonałem to życie bujne, bogate, naladowane elektrycznością wszystkimi porami skóry, oddychałem nim szeroko, gwałtownie, bez opamiętania. Ale w toku tej, można by pomyśleć, żywiołowej tylko naderczywości dokonywał się we mnie — zdaje sobie dzisiaj z tego sprawę doskonale — głęboki rozrachunek z samym sobą, ze swoją dawną postawą i działalnością, ze swoimi starymi grzechami, klęskami i triumfami.

Są różne natury umysłów ludzkich i charakterów.

Są tacy, którym dla dokonania ciężkich obrachunków ze sobą trzeba kontemplacyjnej ciszy, by z wyszukanej sobie pustelni mogli po dłuższym lub krótszym, zaseponym milczeniu wyjść znnowu w czynne życie zupełnie inni, w odmienionej już postaci.

Są i tacy, którzy dokonują porachunków z sobą w toku nieustającego ani na chwilę działania.

Zdaje mi się, że natura mego umysłu i serca zbliża mnie raczej do tych drugich.

I byłoby, myślę, rzeczą najzupełniej niesłuszną, abym sobie dzisiaj wyrzucał, że w owym minio-

nym dziesięcioleciu zbyt wiele roz-trwonilem czasu i energii, nie bacząc na rzekome czy rzeczywiste tym samym uszczuplenie swego poetyckiego dorobku.

Przez dziesięć minionych lat, nie zaniedbując pisarstwa, w codziennej robocie żarliwie starałem się uczyć socjalizmu, zabierając się do wszelkiej dostępnej mi pracy. Proces ten nie został jeszcze zamknięty i nie zostanie zakończony wcześniej, nim ja sam ostatecznie nie zamknę oczu.

Myślę wszakże, że jedno już mam prawo o sobie powiedzieć: w toku tego procesu **zostałem komunistą**. Oto co mi najcenniejszego dała Polska Ludowa.

Można z kolei zapytać: co ja w zamian dałem Polsce Ludowej? Odpowiedź na tak sformułowane pytanie jest z rozlicznych względów za trudna.

Może słuszniej będzie odpowiedzieć sobie na pytanie, jak ja sam odnoszę się do moich pisarskich wysiłków w okresie pierwszego dziesięciolecia Polski Ludowej.

Zastanawiając się nieraz nad cechami mojej postawy jako człowieka i pisarza, dokonałem kiedyś interesującego dla siebie spostrzeżenia, że nie było sprawą przypadku, iż kolejno wybierałem na bohaterów napisanych przeze mnie utworów takie postaci jak Juro Janosik, Spartakus, Jakub Jasiński czy Aleksander Kostka-Napierski.

Co tu ukrywać: z tego tytułu postacie, są mi uczuciowo najbliższe.

Jeśli cokolwiek się zastanowić, świadczy to, że i sam noszę w sobie najprawdopodobniej jakieś zblizone do ich cech cechy własne. Podeirzawam, że jedna z nich jest głęboko ukryta w mojej naturze i — co gorsze — w mojej świadomości skłonność do nieco anarchizującego buntownictwa. Jednego jestem pewien, że należy to do właściwości mego temperamentu.

To moje odkrycie, najściślej związane z podstawowym problemem pozytywnego bohatera w literaturze i sztuce socjalistycznego realizmu, z zagadnieniem bohatera lirycznego w mojej poezji, określa naturę jednej z dość istotnych dla mnie do niedawna trudności na wytyczonej sobie drodze twórczego rozwoju.

Nie znaczy to — jak mi się wydaje — abym nie był zdolny do dawania wyrazu szczerze, głębokiej radości z racji wielkich zwycięstw budownictwa socjalizmu w Polsce. Nie.

Boję się wszakże, że diabeł przekory ukryty za kohnierzem b. buntownika do niedawna zbyt często jeszcze kusił mnie na manowce i próbując gościć się z rozsądkiem, przymuszał albo do milczenia, albo — co gorzej — do zbyt retorwcznych deklaracji, mających świadczyć, że się z owym szatanem raz na zawsze uporałem.

Kiedys pozwoliłem sobie na niezdrowsy żart, iż wolałbym być rewolucyjnym poetą w warunkach

(Dokończenie na str. 8)

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI:



W lipcu 1944 roku — dziesięć lat temu — wstając codziennie o czwartej i piątej rano, gorączkowo wykańczałem maszynopis książki, jaką chciałem powitać oczekiwane lada dzień wyzwolenie. Przez Warszawę wycyfrowały się pośpiesznie pokiereszowane oddziały frontowe armii hitlerowskiej i dnie były brzemienne nadzieją. Tymy stojące na Alejach Jerozolimskich — na trasie niemieckiego odwrotu — nie szczędziły kąśliwych uwag, ludzie przestali się bać. Na murach pojawiły się niemal jawne ulotki i plakaty, numery podziemnych gazetek rozdawano na ulicach. Dnie całe krzątałem się żywo montując łączność z drugą, podziemną siatką Departamentu Informacji Delegatury Rządu, gdyż pierwsza, oficjalna, miała się ujawnić wobec świata i Armii Radzieckiej. Trzydniowe (tak planowano!) powstanie zakończyć się miało zajęciem Warszawy przez AK, wyładowaniem ministrów z Londynu i powitaniem Armii Radzieckiej na granicy miasta — oficjalnie i przyjaźnie — z jednoczesnym uruchomieniem aparatu tajnej dywersji militarnej i politycznej, która miała na tyłach tej samej Armii Czerwonej rozwinąć **słowną** akcję. Książka jaką rankami pisałem była charakterystyczna — czytelnicy ją potem poznali: „Rok ziemi obcej”, była ona niejaka w swej orientacji politycznej, ale „zachodnia” w swej treści, więc tym samym w określonej sytuacji politycznej odgrywać miała określoną rolę. Nie miałem żadnych wątpliwości ani nikt ich mieć nie mógł: w lipcu, przed dziesięciu laty — byłem wśród tych z „Londynu”.

Po dziesięciu latach, w lipcu 1945 roku, co dzień od wczesnego ranka, pracuję pilnie nad powieścią, która będzie następą z pewnej już liczby mych książek mających w miarę najlepszych sił służyć sprawie socjalistycznej literatury. Pragnę by książki te były czytane i rozumiane. By pozwoliły spędzić czas przyjemnie, ale każąc

się zastanawiać nad tym, co się wokół nich dzieje. By budziły sympatię dla osób bohaterów i by uczyły nienawidzić wrogów. By, jednym słowem, były powieściami, które i rozrywką i problemem wiązały skutecznie uwagę czytelnika z budową Polski socjalistycznej, takiej Polski, która rośnie dookoła nową Warszawą, Pałacem Kultury i Nauki, setkami nowych fabryk i tysiącami nowych spółdzielni produkcyjnych, która powstaje w nowym człowieku, już myślącym i działającym inaczej. Warszawa z lipca 1944 i lipca 1945 to dwa światy — Polacy z tych dwóch lat to dwa bieguny, choć niejednemu się wydaje, że pozostał taki sam.

Kiedy zastanowić mi się przyszło nad moją dziesięcioletnią pracą pisarską — literacką i publicystyczną — nie umiem myśleć o niej inaczej jak analizując drogę przemiany, jaką przeszedłem. Tą drogą, która była o wiele dłuższą niż to może wyczytać czytelnik z książki i powieści. Była bardziej skomplikowana, gdyż na moją postawę społeczną i polityczną działały nie tylko siły związków z podziemiem „akowsko-londyńskim”, jakie nie pozwały od razu i prosto stanąć po stronie rewolucji, ale działały i siły sięgające lat młodzieńczego kształtowania własnej osobowości, jakie nakazywały najspieszniej i najszczerzej opowiedzieć się po stronie teżej rewolucji. Syn inteligencji, raczej burżuazyjnej rodziny, daleki byłem na pewno komunizmowi, najlepszy dowód, że czynny już wtedy w młodzieżowej polityce nie umiałem mając lat dwadzieścia (a więc będąc już politycznie dojrzałym) ustosunkować się mądrze i słusznie do wydarzeń zaszłych w dniu 17 września 1939 roku i konsekwencje tego płacilem do końca wojny i długi czas jeszcze potem. A jednak — co przecież znaczy w samorzęzieniu swej postawy ideowej — był taki rok, gdy w odczytywanym dzienniku lektury konsekwentnie i bardzo szczerze przez dziesięć szkolnych miesięcy podawałem jako czytanie (i rzeczywiście je czytałem) wyłącznie książki beletrystyczne i reporterskie, tłumaczone z literatury radzieckiej lub informujące o ZSRR w sposób przychylny. Był taki rok, 1935, gdy po raz ostatni w życiu poszedłem do spowiedzi i po raz przedostatni ukląkłem do modlitwy. (Późniejsza, powojenna współpraca z pismami katolickimi, z „Dziś i Jutro”, była raczej wynikiem spekulacji politycznej, nie wspólnego z t.zw. wiarą nie mająca, co pewnego dnia spostrzegli z wyrzutem sami nawet co bystresy czytelnicy „Dziś i Jutro”.) Może bym i w swej młodzieńczej postępowości doszedł na koniec do grup komunistycznych, gdyby nie nadzwyczaj skuteczna kontrakcja prowadzona wśród inteligencji postępowej przez „Wiadomości Literackie”, a wśród postępowej młodzieży przez (dziś już nie myślę się!) inspirowane mocno

„dwójkarskimi” kanałami pseudo⁴ postępowe niby demokratyczne pisma młodzieżowe, jak „Czerwone Tarcze”, „Orka na ugorze” i podobne, których radykalizm był buńczuczny, ale kierunek antyradykalistyczny starannie obserwowany. Wolno mi było w „Czerwonych Tarczach” napisać — jako Wiktor Majkowski — wściekły artykuł o roli prefektów gimnazjalnych, pochwalony w „Robotniku” i napiętnowany w „ABC” (coż to był za sukces dla młodego ośmioklasisty muszającego się jeszcze ukrywać pod pseudonimem) — ale nie mogłem słowem jednym pochwalić planów pięcioletnich. To była sprytna robota. Ona to sprawiła, że podczas wojny wielu z nas nie umiało odczytać jej właściwego przebiegu. Ona to sprawiła, że wielu z nas walczyło pod sztandarami, których wygrana byłaby klęską naszych społecznych marzeń. Ona to sprawiła, że w wiele lat po wojnie w sercach i myślach wielu z nas istniał prawdziwy „Berlin” — byliśmy rozdarci, jak tamto wielkie miasto, na strefę zachodnią i strefę wschodnią i — jak w prawdziwym Berlinie, walczyły w nas dwie potężne siły polityczne, stąd tytuł powieści, którą kiedyś zamierzam napisać, brzmi właśnie „Berlin”, choć z samym Berlinem stosunkowo niewiele będzie ona miała wspólnego.

Te podwójne — ale dostatecznie stopione, by stać się poważnym problemem, dziedzictwo młodości i wojny sprawiło, że przez pierwsze cztery lata dziesięciolecia pisarstwo moje było niejasne, zbyt wymijało istotę spraw dziejących się w Polsce Ludowej. „Szczotka do butów”, „Rok ziemi obcej”, „Przez 10 wojen” książki te nie były literaturą wroga Polsce Ludowej, były nawet potrzebne, relacjonowały przecież o losach nie małej ilości Polaków, były w pewnym sensie dokumentem historycznym, a przez pogodę swego tonu próbowały przeprosić ma jakiego wojennego smutku. Natomiast zgoda z tym, że książki te są zbyt mało ambitne, gdyż pomijają milczeniem najważniejsze problemy ideowe i polityczne jakimi wtedy żyło społeczeństwo polskie. Są to książki marginalne. A przecież moje artykuły publicystyczne drukowane w tym czasie w prasie, bynajmniej nie były marginesowe. Umialem już ocenić chwilę bieżącą, a nie potrafiłem jeszcze przewartościować spraw przeszłości, z którymi byłem tak bardzo osobiście i uczuciowo związany. Szukałem drogi. Witałem nowe rosnące w naszym kraju i zeczonej jeszcze byłem ze starym. Podobna ekwilibrystyka — może trudna do pojęcia przez kogoś, kto nie przeżył razem z nami, w kraju, tych lat — nie była tylko moim wyłącznym udziałem. Równocześnie publikowania artykułów w „Odrodzeniu” i w „Przekroju” z artykułami w „Tygodniku Powszechnym”, a nawet sporadycznie i artykułami w „Gazecie Ludowej” i w „Tygodniku Warszawskim” doprowadziła do bardzo niezwykłej wypadkowej, związania się w bliskiej redakcyjnej współpracy z „Dziś i Jutro”. W efekcie z nazbyt wielu ludźmi w Polsce byłem dobrze... W lecie 1947 roku jeden z wybitnych dziś pisarzy, podówczas jeszcze parający się wyłącznie dziennikarką, powiedział mi z pewnym podziwem: „Pan to chyba nie ma wrogów...” Był to okres, gdy podróżowałem po Polsce zbierając materiały do książki „Żywioły”. „Żywioły” są pozycją, do której jestem bardzo przywiązany. Rozumiem górę zastrzeżeń politycznych, jakie dziś ta książka budzi i budzić powinna, ale w moim rozwoju politycznym znaczy ona bardzo wiele. Podróżę podjęte celem opisanja trzyletniego dorobku polskiego na Ziemiach Zachodnich pozwoliły mi wyjść poza ciasne środowisko znajomych warszawskich i poznać ile się w Polsce, właśnie ludowej, wielkich rzeczy dzieje. I wtedy akurat usłyszałem, że... nie mam wrogów.

Opinię taka adresat może pokiwować uśmiechem konwencjonalnej uprzejmości, ale — jeżeli jest człowiekiem mającym ambicję działania politycznego (a pisarstwo to prowadzenie polityki specjalnymi metodami) zapiece go ono do żywego. Gdźw, niezależnie od intencji komplementującego, jest to w istocie obelga i ostrzeżenie równocześnie. Nie mają wrogów tylko ci, co niczego nie postulują i niczego nie realizują, tylko ci, co przechodzą mimo życia. A tego piekielnie się zawsze bałem.

Marianie Brandysie! Ty może nawet nie wiesz, że zdanie o braku wrogów, jakim uraczyłeś mnie w chwil kilka po naszym poznaniu, podczas obiadu w przyjemnej knajpie gdyńskiej, w poważny sposób przyspieszyło moją już napoczętą polityczną ewolucję. Już wtedy pisałem „Żywioły”, już wtedy uważałem się za obywatela Polski Ludowej, już wtedy nie byłem „londyńczykiem” ale jeszcze nie stałem na pozycjach Polski Socjalistycznej, gdźw mocowały się we mnie siły rozmaite. Wtedy to przerażeniem się i bodaj po raz pierwszy z tak dobitną siłą zapytałem sam siebie: oto tworzy się nowa

(Dokończenie na str. 8)

O prawdziwej przyjaźni

Nie, okazują się ważne także dla pisarzy dalekich Chin Ludowych przebywających obecnie inna, ale jednocześnie podobną drogę. Interesują się nimi pisarze dalekiego, mało znanego nam kraju, mającego wielką literacką tradycję tysięcy lat, ale którzy stanęli wobec nowego dla siebie problemu — tworzenia literatury i sztuki wyrażającej świadomość i dążenia nowego człowieka zwycięskiej klasy rewolucji, proletariatu.

Poważny, choć młody chyba jeszcze przewodniczący delegacji Jan Hau-szen będący sekretarzem generalnym Komitetu do Spraw Kultury i Oświaty Rządowej Rady Administracyjnej Chin Ludowych — pyta o problemy naszego ostatniego Zjazdu Literatów. Wiedzieli o nim tak samo, jak znają wiele nazwisk naszych pisarzy a nawet tytuły ich książek. Rudnicki? Nowerly? Kruczkowski? Dobrowolski? Znają już te nazwiska, choć my nie znamy ich nazwisk nie bardziej dla nas trudnych do zapamiętania

jak dla Chińczyków nazwiska polskie.

Czan Kuan-mien — sekretarz generalny Związku Dramaturgów — pyta o drogi rozwoju naszego dramatu, a Czao-Siao-Jan — śpie-waczka, młoda kobieta pełna słownego uroku, chciaaby wiedzieć jak rozwija się nasza literatura dla dzieci. Ani nazwisko Mickiewicza, ani Konopnickiej nie są im obce. O Mickiewiczu pisał w Chinach już współczesny mu chiński pisarz. Toteż słusznie jeden z naszych poetów w odpowiedzi na te wyrazy szacunku dla naszego wiesz-cza narodowego — opowiedział piękną historię, jakby przypowieść przywiezioną wśród wspomnień z młodzieżowego festiwalu w Berlinie. Chiński student mówił tam towarzyszym z innych krajów o wielkim poecie swego narodu, Li Taj-Po. A kiedy mówił o miejscu jakie zajmuje on w sercu swego narodu — Niemcy myśleli; że mówi o Goethem, Ukraińcy — że o Szewczen-ce, Rosianie — że o Puszkynie. Po-



Poeta chiński Ko-Czun-Pin w rozmowie z Sewerynem Pollakiem.

Diagnoza

Zbliża się koniec pańskiego żywota panie, panie... — powiedział doktor Z. surowo marszcząc czoło.

— Chmura, panie doktorze, Szymon Chmura — podpowiedział doktorowi Szymon Chmura w nadziei, że jego nazwisko rozjaśni surową twarz doktora i doktor zawoła:

— Ach, pan Chmura? Pomyliłem się, panie Chmura, to nie pan ma umrzeć, panie Chmura, to zupełnie ktoś inny.

Ale doktor skłonił potwierdzająco głowę i powtórzył:

— Zbliża się koniec pańskiego żywota, panie Chmura.

Wtedy Szymon Chmura opuścił wzrok i zaczął palce na barankowej czapce, jakby cierpiał z powodu niezasiłkowej kary.

— Radzę panu z godnością i spokojem znieść tę uroczystość — mówił dalej doktor Z. wypisując recepty. — I niech się pan nie czuje zaskoczonym, że pan umrze, nie jest wcale bardziej niezwykłe od tego, że się pan urodził.

Doktor Z. był właściwie ginekologiem, ale los zmusił go do odgrzywania roli małomiasteczkowego omnibusa. Toteż przepowiadał śmierć ludziom starym i bardzo chorym z równym spokojem, z jakim oznajmiał ciężą młodym kobietom. Wszelkie zaś objawy gniewu i buntu przyjmował z takim samym niesmakiem, z jakim odrzucał propozycje niektórych pacjentów, dotyczące wykonywania zakazanych zabiegów mających zapobiec przykrościom rodzenia.

Ale Szymon Chmura był wzorem dyscypliny. Związał w galcach barankową czapkę z wyrazem posłuszeństwa i zgody.

— Czy pańska żona żyje, panie Chmura?

— Dawno umarła, panie doktorze,

— Ma pan dzieci?

— Mam dwóch synów.

— Są już z pewnością dorośli.

— Starszy ma 25 lat, a młodszy 24 lata, panie doktorze. Tak, są już dorośli.

— Więc jest pan spokojny, panie Chmura.

Tutaj Szymon Chmura uśmiechnął się trochę boleśnie i chciał coś powiedzieć, ale właśnie ktoś zapukał do drzwi, ktoś wsunął głowę do pokoju i szepnął do doktora kilka słów, których Szymon Chmura nie dosłyszał — po czym doktor Z. wstał i powiedział: — zaraz wracam — wyszedł.

Na biurku zostało otwarte pióro, na podłużnej kartce papieru opatrzonej bladą pieczęcią schło niewyraźne pismo doktora. Obok leżała czarna słuchawka z różowym węzłem, skróconym w znak zapytania. W tej słuchawce doktor Z. usłyszał przed chwilą wyrok na Szymona Chmurę. Teraz Szymon Chmura patrzył w słuchawkę pochłonięty śliczną ochotą uchwycenia jej i przytulenia do ucha. Kto wie, może trwają w niej jeszcze te tajemnicze dźwięki, które rozstrzygnęły o jego życiu? Kto wie, może jemu samemu czarna słuchawka oznajmiłaby coś zupełnie innego?

Ale Szymon Chmura przez całe życie był człowiekiem poważnym i zdyscyplinowanym, więc i teraz przywołuje się do porządku, mówiąc sobie:

— Pan doktor wie lepiej.

Poczem zatopiwszy wzrok w otwartym oknie, za którym hałasuje zwykły, letni, targowy dzień, Szymon Chmura przebiega myślą wszystkie konsekwencje niespodziewanej nowiny, którą oznajmił mu doktor Z.

Kolumnkowy zegar na biurku doktora brzęknął powoli trzy razy, po czym szybko wydzwonił jedenaście. Była godzina za piętnaście dwunasta.

Droga do domu

Z domu doktora Szymon pójdzie jak zwykle do rynku. Wejdzie — jak zwykle — do spółdzielni, gdzie kupi mydło, świecę, pastę do butów i spyta o gwoździe, których wie, że nie dostanie.

— Będą za miesiąc — powie mu sprzedawca, na co Szymon uśmiechnie się lekko. Uśmiech ten wyda się sprzedawcy nieufny i złośliwy wobec zaopatrzenia towarami wsi, więc urażony zapewni Szymona:

— Zobaczą pan, że będą.

Wtedy Szymon uśmiechnie się jeszcze bardziej znacząco i powie z naciskiem:

— Może i zobaczą. Do widzenia.

Jak gdyby nigdy nic Szymon będzie siedział potem na stacji, przy czym nie omissza jeszcze po drodze wstąpić do szlifierza, aby odebrać brzytwę, którą oddał do naostrzenia. W tym miejscu wstrząsa nim lekki, a niemily dreszcz: szlifierz jest gadułą i przy oddawaniu naostrzonej brzytwy zwykły mówi:

— Będzie panu służyła parę ładnych lat...

Szymon podziękuję uprzejmie za dobrze naostrzoną brzytwę i powie szlifierzowi do widzenia, jak gdyby rzeczywiście rozstawał się z nim tylko do następnego ostrzenia brzytwy.

Jeśli idzie o jazdę pociągami, Szymon przewiduje małą tylko odmianę w swych obyczajach: zwykły był dotąd sadowi się w ostatnim wagonie, mając niejasne, zabobonne trochę i dziecinne przeświadczenie, że w razie katastrofy ten właśnie wagon będzie najbezpieczniejszy, dziś jednak Szymon wsiaśnie do bryki którego wagonu — i już uśmiecha się wyniosło, z po-

blażaniem dla tolerowanych dotąd przez siebie niepoważnych narównów.

Tak myśli Szymon i wciąż uśmiecha się do okna, za którym trzeszczą wozy, kłękocą kopyta po bruku i skrzypi muzyka radiowa. Ktoś koło woła raz i drugi, ten ktoś nie słyszy, więc ten ktoś woła drze się bez opamiętania, rozpaczliwie. Szymon uśmiecha się.

— Uważaj — powiedziała jakaś kobieta tuż pod oknem. Resztę jej słów zagłuszył ryk ogromnego samochodu, którego ciężar wstrząsnął wszystkim w pokoju doktora: zakleotała biała, oszklona szafka z lekarstwami, zadzwoniły kryształowe bimbołki u lampy, a jednocześnie ruszony nieprzyjemnym dreszczem znów drgnął Szymon Chmura.

Poczuł nagle zmęczenie swej pogody wewnętrznej, poczuł lekkie zakłócenie owej błogosławionej równowagi duchowej, którą osiągnął dopiero co, gdy tak szczerze i nie bez domieszki łagodnego humoru przechodził w myśli swą ostatnią drogę do domu — do domu, w którym dokona się jego rozstanie ze światem. Przed oczyma Szymona zjawiały się teraz posta-

mona Chmury, ten owoc jego bogactwa się i triumfu, zabił swą matkę, do której wprost przeraźliwie, wprost nie do wiary podobny był syn pierwszy, ten słaby i wdzięczny owoc głodnej, nierozsądnej, ślepej miłości. Sam Szymon Chmura nie lubi wspominać tej miłości, podobnie zresztą jak nie lubi swojego starszego syna.

Szymon woli syna młodszego. Uważa go za chłopca poważnego i rozsądnego. Jego świat zamyka się w obrębie spraw dotyczących się ojcowskiej gospodarki. Piotr ceni gospodarke. Piotr ceni ziemię, inwentarz i pieniądze. W pracę przy domu, przy bydlę i w polu Piotr kładzie całą duszę. Piotr szanuje ojca nie tylko jako ojca, ale także, a nawet przede wszystkim jako gospodarza, właściciela czterech hektarów ziemi, murowanego domu i sadu. Ojciec wie o tym i jest z tego dumny. — Ojciec być nie sztuką, być gospodarzem to wielka sztuka — tak powiada Szymon Chmura, a syn Piotr podziela jego zdanie. Wraz z ojcem-gospodarzem Piotr szanuje wszystkich gospodarzy we wsi, rozdziałając między nich swój szacunek stosownie do ilości hektarów oraz sztuk in-

ANDRZEJ KIJOWSKI

składał się z dwóch morgów pola i bardzo starej chaty. Cóż więc mogli rodzice dać Szymonowi?

Dali mu dobrego ojca chrzestnego — to wszystko co mogli zrobić. Ojcem chrzestnym Szymona został ciociętny brat matki, właściciel czterech hektarów ziemi, sadu i murowanego choć niedokończonego domu, jedyny członek rodziny, który mógł się zaliczać do gospodarzy. Ach, dom ojca chrzestnego! Wysocki, bo na betonowym podmurówaniu i krótki, prawie kwadratowy, bo był właściwie tylko połową domu niegdyś zamierzonego. Proporcje jego stosowane już były oczywiście do pełnych rozmiarów, przecięte w pół sprawiały wrażenie dziwne i smutne. Idąc od lewego końca węgła następowało jedno duże okno, potem drugie duże okno, potem drzwi, a dalej, gdzie powinny

co wuj Diabeł. — Dobrze, że mnie lubisz. Ja nie mam dzieci, więc nie ma mnie kto lubić. Wiesz o tym?

— Wiem.

— Na pewno wiesz. Pewnie ci starzy mówią: chodź do wujka Diabła, mów mu, że go lubisz, on nie ma dzieci i pewnie ci zapisze majątek. Co? Tak ci pewnie mówią starzy?

— Nie — wyjękował przestraszony Szymon.

— Ha, ha, ha — śmiał się wuj unosząc lewą brew wysoko, wysoko, aż prawie stykała się z brzegiem srebrnej czupryny.

Oto był ojciec chrzestny Szymona, oto był człowiek, w stronę którego Szymon od maleńkości kierował swoje marzenie: być bogatym jak on, być pięknym jak on, znajdować wszędzie posłuch, obawę i szacunek — jak on.

Miłość Szymona

Matką chrzestną Szymona była sąsiadka jego rodziców, jeszcze biedniejsza od nich, dobra kobieta, której Szymon nie pamiętał, bowiem umarła, kiedy jeszcze był maleńkim dzieckiem. Została po niej córeczka imieniem Gabriela, nieco młodsza od Szymona, z którą Szymon bawił się i przyjaźnił od najmłodszych lat. Gabriela także stawiano za wzór Szymonowi.

— Popatrz, jak dobrym dzieckiem jest Gabriela — mówiła matka Szymonowi — popatrz, jaka zawsze wesola, popatrz, jak zawsze gotowa zrobić ludziom coś dobrego, popatrz jak ludzie ją lubią, jak ją kochają.

Rzeczywiście, wszyscy we wsi bardzo lubili małą, złotowłosą i niebieskooką Gabriela.

— Aniołek — mówili patrząc na nią z rozradowaniem — nasz kochany Aniołek.

— Bądź takim dobrym dzieckiem jak Gabriela — mówiła matka do Szymona — wtedy będą ci ludzie tak lubić i kochać.

Kiedy Szymon doszedł do lat młodzieńczych skończyły się podarki wujka Diabła, Szymon sam musiał zapracować na buty, kurtkę, spodnie i kaszkiet.

Poszedł więc na parobka do dworu. Mała Gabriela pracowała tam już wcześniej przy kuchni i znów — jak wszędzie — swą dobrocią i wesołością zaskarbiła sobie ludzką sympatię.

Jakaż ona była miła! Nieraz w porze posiłków gromadzili się wokół niej farnale i dziewczęta, prosząc: zaśpiewaj Aniołku — i Gabriela śpiewała. Albo: Aniołku, pokaż panią, pokaż rządce, pokaż księżkę — i Gabriela pokazywała jak pani spaceruje po parku, jak rządca rozgląda się po folwarku, jak ksiądz klepie w policzek i znaczy krzyżyk na czoło, tak jednocześnie manewrując ręką, aby ułatwić jej całowanie.

Wszyscy wokół zaśmiewali się z Gabrieli-Aniolka i prosili znów:

— Aniołku, powiedz co byś zrobiła gdybyś naprawdę była aniołkiem?

— Gdybym była aniołkiem — zaczynała poważnie Gabriela — nie robiłabym w kuchni...

— Ha, ha, ha — zaśmiewali się słuchacze.

— Latałabym w długiej, białej sukni po folwarku, po polach, po czworakach, po chałupach.

— Latałaby — ha, ha, ha — pewnie, anioł przecież ma skrzydła...

— Śpiewałabym...

— Ha, ha, ha.

— Odgrzywałabym Matkę Boską.

— Ha, ha, ha — odgrzywałaby Matkę Boską, ha, ha, ha, jak dzie-dzieczkę...

— I św. Piotra.

— Ha, ha, ha — jak rządce.

— I samego Pana Boga, jak nam robi krzyżyki i każe się całować w rękę.

Tutaj trochę gorszyły się kobiety i przyzywały Gabriela do opamiętania, ale chłopcy zaśmiewali się do rozpuku, chociaż słyszeli to już nie po raz pierwszy.

— No i co jeszcze — i co jeszcze...

— No i opowiadałabym wam co robiłabym, gdybym była człowiekiem.

— Ha, ha, ha.

To ostatnie podołało się wszystkim najbardziej. Ewentualne anielskie stawało się wtedy dla wszystkich bliskie i osiągalne — okazywało się, że gdyby Gabriela rzeczywiście była aniołkiem, niewiele by się zmieniła, byłaby taka sama, tylko jeszcze ładniejsza, jeszcze miłsza i jeszcze zabawniejsza.

— A co byś opowiadała nam, Gabrieli?

— A mówiłabym wam — kończyła Gabriela — że gdybym była człowiekiem robiłabym to samo, co robię, kiedy jestem aniołkiem, tylko, że prócz tego jeszcze pracowałabym w kuchni.

Chłopcy i dziewczęta a nawet starsi przepadałi za bajdurzeniem Gabrieli — zachwycały ich nieoczekiwane wybryki jej wyobraźni — wibegające gdzieś daleko poza zwykły, codzienny świat, to znów wracającej do niego gwałtownie, jak kamień rzucony w górę spada z powrotem na ziemię.

Opowieści Gabrieli rzucały jakieś nowe światło na świat widzialny, którego co dzień doświadczali i na-

świat niewidzialny, w który przyzwyczaili się wierzyć. Poddawali te obydwa światy w wątpliwość — to co pewne i zdawałoby się niewzruszalne, po wysłuchaniu jej opowieści stawało się względnie, niepewnym, dowolnym jak fanaberie Gabrieli — wyobraźni.

Nie też dziwnego, że bajki Gabrieli dawały zwykle początek burzliwym rozmowom na temat dworu, roboty, państwa, a także księstwa i kościoła — rozmowom, w których kwestionowano wysokość zarobków, prawa rządce w dysponowaniu ludźmi, a także wygrywane zarobki księża na słubach i pogrzebach. Sığano również myślał w zaświaty i roztrząsano wiele różnych kwestii dotyczących się głównie życia pozagrobowego: „Poznaję się tam ludzie, czy nie?”, „Maż z żoną razem tam żyć, czy nie?”, „Starzeja się?”, „Czy są wieczne starzy?”, „A może wiecznie młodzi?”, „A jeśli młodzi, to co z dziećmi, co z wnukami?” Oto był plon, jaki przynosiły bajdurzenia Gabrieli-Aniolka.

Nie więc dziwnego, że ogromnie ją wszyscy kochali. Dziwne natomiast i niepojęte było to, że najgorętszą miłością, nieprzrotną miłością zapłonął do niej Szymon Chmura. On, chłopiec tak poważny i rozsądny, wychowany w poszanowaniu dla świata, władzy i majątku, on pełen pokory wobec tego co widział i tego co mu do wierzenia podano, on tak — zdawałoby się pozbawiony wyobraźni a zdyscyplinowany, on którego życiowym ideałem był majątek i powaga wujka Diabła, z zapartym tchem słuchał bajek Gabrieli. Jej bluźnierstwa pod adresem obydwojch światów zdumiewały go, przestraszały i gorszyły, a jednak pogrążał się w nie, jak w zakazaną, grzeszną rozkosz. Nie brał udziału w burzliwych dyskusjach wybuchających po jej występach, nie uśmiechał się nawet na jej żarty — on tylko słuchał, ale jak słuchał!

I stało się tak, że Gabriela odpłaciła mu taką samą miłością. Bo w gruncie rzeczy ta dziecinna dziewczynka marzyła o tym, żeby spokojnie i normalnie żyć. A ilekroć pomyślała o tym życiu, które ją czeka, zjawiało się przed nią coś ciężkiego, ciemnego, ponurego i silnego — jak Szymon Chmura. Pewnie dlatego go pokochała.

Chwila uniesienia

Tę miłość wraz z nimi przeżywali wszyscy przyjaciele Gabrieli — wszyscy chłopcy i dziewczęta, którzy tak lubili słuchać jej piosenek, żartów i bajd.

— Szczęśliwy Szymon — mówili patrząc jak śmiała się do niego śliczna Gabriela. — Taki nieuczciwie, popatrzcie jakie szczęście ma ten niedziedź. Aniołku — wołali do Gabrieli — zrób człowieka ze swojego niedziedździa.

— Jeśli chcesz — odpowiedziała Gabriela — potrafie z niego zrobić nawet aniola. Będzie latał i śpiewał jak ja.

— Ha, ha, ha — śmiali się wszyscy, a Szymon uśmiechał się zawstydzony trochę, ale i dumny, bardzo dumny, jakby już rzeczywiście rosnął mu skrzydła u ramion.

Az pewnego dnia oboje odeszli ze dworu. Żegnali ich splakane dziewczęta i gniewni chłopcy.

— Niech wam się wiedzie — wołały za nimi dziewczęta — niech wam Bóg da wszystko co najpiętsze.

— Trzymaj się Szymon, trzymaj się twardo — wołali chłopcy — nie daj sobie nigdy zrobić krzywdy.

Miłość Szymona i Gabrieli znajdowała się wówczas w szczytowym nasileniu, czego wymownym świadectwem był wydyt brzuch dziewczyny. I oto co się stało: dziewczeczka spotkała ją na podworzu, obejrzała badawczym wzrokiem i skrzyżowała:

— Powinnaś się wstydić. Ach pfuj! Masz mi zaraz brać ślub, albo się wynosić! Ja nie chcę, ja nie potrzebuję, ja nie będę tole-rola-wa-ła...

Gabriela z głośnym śmiechem wpadła do czworaków i natychmiast odgrała dziedzićkę.

— Ach, pfuj — wołała marszcząc nos i sznurując wargi. Wszyscy pokładali się do śmiechu, nawet Szymon uśmiechał się dobrodusznie. A Gabriela biegała po izbie i krzyczała piskliwie:

— Nie chcę, nie potrzebuję, nie będę to-le, to-le... — krzyczała tak i wybuchala raz po raz głośnym śmiechem, aż nagle tym „to-le, to-le” jej głosik przełamał się w gwałtowny, żalony płacz.

— Chodź stąd — ikała w objęciach wzburzonego Szymona — ja nie chcę, ja nie potrzebuję, ja nie będę to-le, to-le — i znów przy tym obcy wyrazie, którego nie mogła pamiętać wybuchala płaczem tak rozpaczliwym, jakby ją tylko to boleło.

Wówczas Szymon podniósł się — groźny, poważny, stanowczy i powiedział jedno słowo:

— Chodźmy.

Oto co postanowił. Oto co zrobiła z niego miłość.

— Dokądże ty pójdziesz — pytał go starsi i poważni ludzie.

— Gdzież ty się podjesz, kiedy stras-



Rys. Szymon Kobylński

cie synów — oto przyczyna niepokoju.

Synowie

Starszy jest mały, maleńki, ma okrągłą główkę pokrytą jasnym włosem, dziecinnie jasnym, ma okrągłe, niebieskie oczka, dziecinnie niebieskie. Jest blady i wątły, mówi głosem cieniem i słabym, ma miękkie kobiece ruchy.

Taki jest ten starszy, dwudziestopięcioletni syn Szymona Chmury, imieniem Henryk, zrodzony w dwa miesiące po ślubie, w czasie gdy ojciec był farnalem we dworze, a matka pomagała w dworskiej kuchni. Był to czas ciężki, chłopcu brakło odpowiednich witamin do wzrostu i rozwoju, taki więc wyrósł blady i wątły.

Młodszy jest ogromny, silny, ciężki — większy nawet od ojca, choć ojciec sam jest bardzo dużym mężczyzną. Ten syn jest we wszystkim podobny do ojca z tym, że wszystkie jego cechy powtarza jakby z pewną nadwyżką i przesadą: i wyższy od niego i bardziej barczysty, ma dłuższą i jeszcze większą głowę. Jest od niego jeszcze poważniejszy i bardziej opanowany, co widać już w ułożeniu wąskich warg, szczególnie zacienionych i zagiętych lekkim łukiem ku dołowi oraz w spojrzeniu jego oczu, ciemnych — jeszcze ciemniejszych niż ojca i wysyłających osobiście mroczny wzrok, wobec którego spojrzenie ojca można by nazwać nieomal figlarnym, gdyby wyraz ten któkolwiek nawet żartem ważył się stosować do postaci Szymona Chmury.

Taki jest ten młodszy dwudziestopięcioletni syn Szymona, imieniem Piotr, zrodzony w czasie, kiedy ojciec jako jedyny spadkobierca swego bezdzietnego ojca chrzestnego otrzymał w spadku cztery hektary ziemi wraz z murowanym domem i sadem. Nie można więc porównywać warunków, w których rodził się syn pierwszy z tymi, w których rodził się drugi. I oto jaki się urodził — taki silny i wielki, że swym przyjściem na świat zabił swą matkę, małą, maleńką o okrągłej główce pokrytej dziecinnie jasnymi włosami, patrzącą naiwnie na świat dziecinnie niebieskimi oczkami — tak, ten ogromny syn Szy-

wentarza. Toteż lubią go wszyscy prawdziwi gospodarze i dopuszczają do swego grona. Gromadzą się oni często, aby radzić nad obroną tych poważnych i rozsądnych zasad, na których opiera się od wieków życie na wsi. Zasadami tymi jest poszanowanie własności oraz władzy i powagi, które z własności wynikają. Wszelkie zakusy zmierzające do podważenia tych zasad prawdziwi gospodarze, a z nimi Szymon, z Szymonem zaś jego młodszy syn Piotr uważają za niepoważną i zbrodniczą awanturę. A do awanturników należy, niestety, starszy syn Szymona — Henryk, i oto główna przyczyna, dla której ojciec czuje do niego niechęć i żal.

I oto teraz, przed tymi dwoma tak niepodobnymi do siebie synami ma stanąć Szymon Chmura i powiedzieć:

— Zbliża się koniec.

Oto ci dwaj tak niepodobni do siebie ludzie mają stanowić dalszy ciąg Szymona, ich dwa tak niepodobne do siebie losy mają być konsekwencją losu Szymona Chmury. Szymonem wstrząsa niepokój, jakiego odczułby normalny, przy zdrowych zmysłach znajdujący się człowiek, który by spojrzawszy w lustro ujrział swe dwa odbicia różne od siebie a przecież własne lub do innego, który by obejrzałszy się za siebie dostąpił u nog swój cień rozdwojony na dwie sylwetki, z których każda byłaby inna, a obydwie przecież bliskie, jak tylko własny cień może być bliski.

Cóż więc dziwi się Szymonowi Chmurze, że jego chwałebny spokój i błogosławiona równowaga doznawały poważnego zachwiania. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ze swego rozdwojenia dokładnie zdawał sobie sprawę, patrząc co dzień na swe dwa różne odbicia i dwa różne cienie — na Henryka i na Piotra — a w obydwojch znajdując siebie. Nie ulega wątpliwości, że równowaga i dyscyplina, spokój i godność, którymi to zaletami wyróżniał się spośród ludzi, były właśnie maskami, którymi przykrywał zagadkę swej istoty.

Podziw Szymona

Rodzice nie mogli nie dać Szymonowi. Był najmłodszym z czterech braci, a ojcowski majątek

były być takie same dwa duże okna, nie było już nic, dom się urywał.

Jako dziecko Szymon rzadko zachodził do tego domu, ojciec chrzestny był bowiem samotnikiem i dziwakiem. Często natomiast matka pokazywała mu ów dom z daleka i mówiła:

— Popatrz: jeśli będziesz porządnym, poważnym i pracowitym człowiekiem, jeśli będziesz szanował starszych i mądrzejszych, jeśli rozumnie pokierujesz swym życiem, będziesz bogaty jak twój ojciec chrzestny, będziesz miał taki dom, jak on.

Tak więc ojciec chrzestny i jego dom byli dla Szymona tym, czym dla owego domu była ta druga nieziszczona połowa: kierunkiem marzeń i treścią nadziei.

Rokrocznie w rocznicę chrztu świętego Szymon siedzi do ojca chrzestnego po podarek. Towarzyszył mu dobrze zrozumiały strach. Ojciec chrzestny był mężczyzną ogromnym i kościstym. Z twarzy przypominał złego, drapieżnego ptaka: długi ostry nos nieomal stykał się z wydatnym podbródkiem, wąskie usta zamknięte w nawias nosa i podbródka rozciągał zwykle w ironicznym uśmiechu, przy którym lewy policzek i lewą brew unosił wysoko w górę. Pięknym mężczyzną był ojciec chrzestny, szatańsko pięknym, nie darmo też we wsi nazywano go Diabłem, które to przezwisko przylgnęło do niego tak mocno, że sam do niego przywykł.

— Nie boisz się mnie? — pytał małego Szymona.

— Nie — jękał Szymon.

— Przecież ja jestem diabeł — śmiał się ojciec chrzestny unosząc wysoko lewy policzek i lewą brew.

Poważniał potem zaraz jakby sobie przypominał, że nie ma z czego żartować, roztargnionym ruchem pociął swe piękne, wysokie czoło i gładził srebrne, lekko faliste włosy. W milczeniu wręczał Szymonowi podarek, tj. buty, spodnie, kurtkę, lub kaszkiet a swym długim, atretycznym i zawsze trochę wilgotnym ciukiem znać chłopcu krzyżyk na ciemieniu.

— Lubisz mnie? — pytał na pożegnanie.

— Lubię — szeptał Szymon.

— Ha, ha, ha — śmiał się drwiał-

i chłop

cisz mieszkanie w czworakach, dniówkę i ordynarię. To mieszkanie, dniówka i ordynaria jest przeciw wszystkim co posiadasz.

— Pójdę do miasta — odpowiedział Szymon — znajduję tam robotę.

— Któż cię wie, czy znajdziesz? Trzymaj to co masz. Jesteś dzieckiem Szymon, dzieckiem jak twój Gabriel.

Ale Szymon na to wszystko odpowiadał ponurym i nieprzejednanym spojrzeniem.

Jak postanowił, tak zrobił i jeszcze tego samego dnia wyprowadził swoją Gabriellę przed bramę dworu. I czyż rzeczywiście nie był wtedy podobny do swojej Gabrieli, czyż nie był dziecinny jak ona i zuchwały jak ona? Czyż ta jego ufnosć we własne siły, ta determinacja, z którą puszczał się na niepewne — nie były czymś równie ekstrawaganckim jak wybryki jej wyobraźni?

Ach, jak śmiałym i dostojnym krokiem stapał wówczas Szymon! Na tych, którzy pozostali spoglądał z góry, jakby już rzeczywiście razem ze swą Gabriellą latał nad ich głowami.

Nie polamie sobie skrzydełek — wołali za nim chłopcy i dziewczęta z serdeczną ironią. Byli zadowoleni, że Szymon nie dał znieważać ich ulubienicy i zazdrościli mu trochę jego stanowczości i odwagi.

Obok Szymona szła Gabriela dumna z tego, że Szymon tak energicznie wziął ją w obronę. Szła trochę niezadarnie, kołysząc wielkim brzuchem, w którym spał ich pierwszy syn Henryk.

Chwila wahania

Łatwo to było unieść się dumą i gniewem. Łatwo to było powiedzieć „Pójdę do miasta, znajdę robotę”.

Już kilkanaście kroków za dworską bramą Szymon zwołnił kroku. Wreszcie opuścił do nóg worek z rzeczami, przystanął i zapytał:

— A dokąd my właściwie idziemy?

— Dokąd? — zaśmiała się Gabriela — Prawda, nie mamy dokąd iść.

Szymon spojrzął na nią surowo. — Ale przecież — zawołała — nie zginiemy. O, jestem pewna, że nie zginiemy.

— Jeżeli masz pleść głupstwa — powiedział powoli Szymon — nie mów lepiej wcale.

Gabriela umilkła przestraszona. Nigdy tak do niej nie mówił. Jej śmiechy i żarty zawsze wywoływały uśmiech na jego posępnej twarzy.

Doprawdy, nie było dokąd iść. W domu Gabrieli rządziła macocha, w domu Szymona było pełno. Nadciągał zmierzch wityny chóralnym szczeniem psów. W domach zapalały się światła, a najpierw zabłysnęły dwa duże okna w domu ojca chrzestnego.

Szymon wpatrywał się w te okna jak urzeczony.

— Chodźmy do ojca chrzestnego — powiedział po chwili milczenia. — Do ojca chrzestnego? Do Diabła?

— Nie nazywaj go tak — odparł surowo.

Gabriela wyduła pogardliwe wargi i wzruszyła ramionami.

— Chodźmy lepiej od razu na stację — powiedziała po chwili — jedźmy do miasta. Na rano będziemy w mieście. Poszukasz roboty i mieszkania. Damy sobie radę. Naprawdę — głos jej niespodziewanie przybrał brzmienia błagalne — naprawdę Szymonie, jedźmy stąd, jedźmy zaraz... Będziemy wolni, nikt na nas nie będzie krzyczał, nikt na nas nie będzie wymyślał, nikogo nie będziemy całować po rękach, co zapracujesz to będziesz miał... Szymonie jedźmy stąd, jedźmy zaraz.

Uczepiła się rękawa Szymona, patrzyła mu w oczy i kiwała głową, nadając swoim słowom rytm bajki. Zdawało się, że zaraz powie dalej: będę latała w długiej białej sukni, będę śpiewała, będę opowiadała...

— Jeśli masz mówić głupstwa — powiedział powoli Szymon — lepiej nie mów wcale.

Było to niesłychane zapukać późnym wieczorem do domu ojca chrzestnego i poprosić go o schronienie dla siebie i dla swojej dziewczyny z takim brzuchem, że aż. Już dobrych kilka lat nie był Szymon u wuja. Ale wuj przyjął ich oboje, bez najmniejszego zdziwienia, co więcej — z humorem, jak gdyby ich oczekiwał. Powiedział im nawet, na przywitanie: — Acha, jesteście! — jak gdyby już od dawna niecierpliwił się, że nie przychodzą.

Wuj Diabeł jest chory

Wuj mieszkał wtedy sam, rano przychodził grabarz z żoną. Grabarz obrabiał pole, jego żona oporządzała dom. Kiedy przyszli na zajęcia po przybyciu Szymona i Gabrieli, wuj wypłacił im zastrugi i powiedział, żeby więcej nie przychodzili.

— Jeszcze się będziecie prosić — odrzekł ponuro grabarz.

— Jeszcze nas będziecie szukać — powtórzyła za nim żona. Odeszli, obrzucając wuja, Szymona i

OPJ WIADANIE

— Chodź tutaj — wołał, kiedy tylko usłyszał ją krzątającą się gdzieś w pobliżu.

Gabriela przybiegała przestraszona, że wujowi coś się dzieje, a on chwylał ją wtedy za rękę, patrzył w oczy, uśmiechał się i pytał o to, jak czuje się mały Henryk i jak się ona sama czuje i o to, gdzie jest Szymon i o to, czy ciepło na dworze.

Były to wszystko podstępny, którymi chciał ją zatrzymać przy sobie. I ona musiała używać podstępów, żeby się od niego uwolnić. Zrywała się nagle z krzesła z okrzykiem przerażenia:

— Ach, wszystko mi się spali! — i pędziła do kuchni, a stamtąd wymykała się na dwór, aby tylko dalej od wilgotnej ręki wuja i jego żalostnych spojrzeń.

Szukała Szymona i pytała się go ze złą, zawziętą twarzą:

— Dokąd tutaj będziemy siedzieć? Jak długo mu się będziemy wysługiwali?

— On jest chory — odpowiadał niepewnie Szymon. — Dlaczego jesteś taka zła?

Nie mógł zrozumieć jej złości. Dłaczegoż ta dobra i ofiarna dziewczyna nie chce pielęgnować starego, chorego wuja?

Coraz trudniej było wujowi zważyć Gabriellę do siebie.

— Chodź do mnie, dziecko — wołał, usiłując swemu głosowi nadać jak najkłiksze brzmienie.

— Dziecko, dlaczego do mnie nie chcesz przyjść? Dlaczego nie chcesz, dziecko?

Bóle powoli ustępowały, ale wuj nie wstawał i domagał się wciąż obecności Gabrieli. Mogłoby się wydawać, że wujowi nie chodzi już o to, aby ktoś przy nim był, kiedy go boli, ale że wuj chce widzieć Gabriellę. I mogło się wydawać, że wujowi nie zależy na tym, aby ją widzieć byle gdzie, ale właśnie aby przychodziła do jego pokoju, siadała przy jego łóżku i pozwoliła trzymać się za rękę. Wreszcie kiedy pytał natarczywie — Dziecko, powiedz, dlaczego nie chcesz przyjść? Dlaczego, dziecko? — mogło się wydawać, że już tylko o to w końcu chodzi wujowi: dlaczego można nie chcieć przy nim być, dlaczego się go unika.

Ale wszystko na nic, Gabriela wcale nie odpowiadała. Głos wuja stał się coraz bardziej żalostny i błagalny, wuj niemal płaszczył się przed Gabriellą, wołając:

— Moje dziecko, spojrzij tylko przez drzwi. Niczego więcej nie chcę, zairjżj tylko, popatrz na mnie, a potem możesz zaraz iść.

Gabriela jednakże nie zjawiała się w drzwiach, a gdyby wuj mógł ją wtedy urzucić, widziałby złośliwy uśmiech na jej twarzy — Gabriellę cieszyło jego upokorzenie.

Wreszcie wuj podniósł się z łóżka.

— Niechże wujek nie wstaje — mówił Szymon — zaszkodzi wujkowi.

— Cóż będę leżał — odpowiedział wuj gniewnie — zdechne, i nawet nikt nie będzie wiedział kiedy.

Wstawszy z łóżka kręcił się tylko po swojej izbie, nie zaglądał do kuchni, wreszcie wszedł tam, stanął przy Gabrieli i zapytał:

— Dlaczego jesteś dla mnie taka niedobra? Czy naprawdę dla mnie nie można być dobrym?

Ujął ją za rękę, chciał ją mu się wyrwać, ale wtedy wuj zacisnął mocno swoje długie, artretyczne palce, przy czym usta zwały mu się w cieniłą ostrą kreskę, nawiasa nosa i podbródka zaczął się w jeden kragły łuk, a lewy policzek i lewa brew uniosły się w bardzo złym uśmiechu. Pociągnął Gabriellę do siebie.

— Szymon — zawołała Gabriela — Szymon!

Kiedy Szymon wpadł do kuchni, Gabriela stała już sama przy piecu i rozcierała na przegubie czerwone ślady palców.

W sąsiednim pokoju trzeszczało łóżko — wuj kładł się z powrotem. — Widzisz — powiedziała Gabriela, podtykając Szymonowi pod nos rękę z czerwonymi odciskami.

— Chodźmy stąd. Jeżeli nie pójdziesz, pójdę sama. Słyszysz? Pójdę sama — i rozplakała się. Oparła się o piec i płakała w głos. Szymon stał chwilę bezradnie na środku kuchni, patrząc to na Gabriellę, to na drzwi do pokoju wuja, za którymi było cicho, poczem odwrócił się na palcach i starając się nie zrobić najmniejszego hałasu wyszedł na dwór.

Stał na progu, potarł ręką czoło, rozejrzał się po podwórku, zatrzymał wzrok na stajni, w której chrząściło siano pod kopytami koni, zatrzymał wzrok na oborze — krowy mruczały gniewnie, dzwoniły łańcuchy, świnię szorstkimi ciałami ocierały się o swoje zagrody.

Szymon podszedł do parkanu. Po drugiej stronie drogi rozciągało się pole ojca chrzestnego. Była jesień, ziemia była szara, jakby posypana popiołem. Dobra ziemia. Odwrócił się ku domowi: piękny, duży dom. Gdyby tylko dobudować kiedyś tę drugą połowę.

Wzdrygnął się. Trzeba stąd odejść.

Trzeba powiedzieć krótko, stanowczo i twardo:

— Chodźmy — wziąć Gabriellę za

rękę i wyprowadzić za bramę wujowego obejścia.

Trzeba powiedzieć Gabrieli, wujowi i wszystkim, którzy się będą dziwili tej nowej, nieprzemysłanej, dziecinnej decyzji:

— Pójdziemy do miasta. Znajdę tam robotę. Nie będę nikomu służył i nikogo po rękach całował. Nie potrzebuję, żeby mi kto moją żonę znieważał.

Jakże się wtedy ucieszył Gabrie-

— O, tak — zawoła — damy sobie radę, Szymonie. Będziesz pracował, co zapracujesz to będziesz miał, znajdziemy sobie mieszkanie. — Będzie sobie kiwała główką przy słowach „pracował”, „zapracujesz”, „miał”, „mieszkanie”, przez co słowem tym nada ów tak naiwny, kojący rytm bajki.

— Chodźmy!

O jakże się dobrze będzie szło! Jakże się z góry będzie patrzyło na wuja i na wszystkich, którzy się będą dziwili tak stanowczej decyzji — będzie się miało nieomal skrzydła u ramion, będzie się chciało wlecieć nad świat i całemu światu oznajmić:

— Nie potrzebuję niczyjej łaski! Co zapracuję — to będę miał!

Szymon wchodził do domu. Przechodził przez kuchnię, nie patrząc na wciąż jeszcze płaczącą Gabriellę. Wchodził do pokoju ojca chrzestnego. Ojciec chrzestny siedzi skulony na łóżku. Podnosi na Szymona żalostne spojrzenie, opadły mu dolne powieki, jego oczy są duże, bezradne.

— Boli — mówi cicho do Szymona — znowu boli.

Ale Szymon nie zwraca na to uwagi.

— Słuchajcie — mówi — nam trzeba stąd iść.

Ojciec chrzestny patrzy chwilę na Szymona, przyskikając mocno ręce do boków.

— Dokąd? — pyta wreszcie.

— Do miasta. Znajdę sobie tam robotę.

— Tu masz także robotę.

— Ale tam będę wolny.

„Będę wolny“ — powiedział Szymon i poczuł się nagle dumny, groźny, poczuł się wielki, tak wielki, że na ojca chrzestnego patrzył z góry, jakby ten leżał mu u stóp, lub jakby on sam, Szymon, wznosił się pod powalę na skrzydłach swej dumy.

„Ojciec chrzestny kiwa się żalostnie, że skrzywioną, bolesną twarzą.”

— Zostanie — mówi znów cicho. — Ja już niedługo. Ja wiem, że to niedługo. Ja wiem, że tego nie można wyleczyć. To nie może trwać długo. Zostanie. Ja mam

przecież dom, sad, cztery hektary ziemi, pieniądze tam mam... Komu ja to zostawię. Wam to przecież zostawię. Gabrieli zostawię, tylko zostańcie jeszcze, niech Gabriela zostanie, poproś jej, każ jej, niech Gabriela zostanie... —

— Ja jej wszystko zostawię — zgłaził się w pót, pochylił głowę do kolan Szymona, „jakby mu się kłaniał — cztery hektary, dom, sad,

— Albo jakby czegoś chciał.

— O, tak — zupełnie jakby czegoś chciał i jakby się gniewał, że nie dostanie.

Gromadzili się przed domem, spoglądali z zadumą w okna i czekali na tych, którzy jeszcze nie wyszli.

— Jaki zły — potwierdzali tamci.

— O, tak — zły jak prawdziwy diabeł.

Podczas pogrzebu patrzyli z ciekawością na Szymona i Gabriellę. Już wszyscy wiedzieli, że Diabeł zapisał im i dom, i sad, i pole i sporo gotówki.

Pierwszy za trumną szedł Szymon.

— Patrzcie — mówili ludzie — jaki godny.

— Jak się namarszczył — prawie jak nieboszczyk.

— Jak to idzie, dziad śmierdzący — gospodarz.

— Ha, ha, ha — gospodarz! Nocniki po starym wynosił, to się i dorobił.

— Ach, jakie to miny stroi jak to patrzy — patrzcie, on naprawdę się robi podobny do nieboszczyka. Za Szymonem szła Gabriela.

— A ta znów — mina jak półtora nieszczęścia.

— I patrzcie z dzieckiem chodź.

— Może to starego?

— Dajcież spokój, uszanujcie pogrzeb... —

— Ha, ha, ha.

— Oj, musieli oni zakręcić się koło niego... —

— Gabriela nie, ona nie taka. Ten niedźwiedź jej kazał.

— Eeh, ona też nie taki aniołek. Na taki majątek każdy pójdzie.

Nad grobem Gabrielle zrobiło się słabo. Tutaj powszechną uwagę zwrócił fakt, że kiedy Szymon zbliżył się do niej, aby jej pomóc, Gabriela odsunęła się od niego i odeszła w stronę domu, wsparta na ramionach obcych ludzi. Wsząc prawie na ich rękach, z bledziutką twarzą, przechyloną na bok, bardziej niż kiedykolwiek przypominała anioła. Stapała ciężko, niezadarnie, kołysząc wielkim brzuchem, w którym spał młodszy syn Szymona — Piotr.

Dlaczego nie wraca dokiór Z.

— Zdecyduj się pan — powiedział ktoś z oknem i mówił coś jeszcze dalej, ale jego słowa zagłuszył trzask furmanki i piskliwy, dziecięcy chór, który wrzasnął w radiowym głośniku.

Szymon Chmura patrzył w okno wciąż z tym samym uśmiechem, który trwał na jego twarzy, jak dawno zagasił papierosa. Wskazówki na kolumnkowym zegarze doktora Z. zbliżyły się do siebie za ledwie o kilka minut.

Doktor Z. wciąż nie wracał. Nie doprzą, że do odejścia pociągu zostało już niewiele czasu, a przecież Szymon chce jeszcze wstąpić do spółdzielni po świecę, mydło i pastę do zębów (kto wie, może na-



Rys. Szymon Kobylński

pieniądze, mam pieniądze — szeptał dalej — powiedz jej, powiedz jej... — urwał, przechrzył się na bok, złożył głowę na poduszkę. — Boli — wyszeptał.

— Gabriela — krzyknął Szymon.

— Gabriela! Okład zrób chrzestnemu.

I zgarbiony, powłócząc nogami wyszedł na dwór rzucić okiem na oborę, stajnię, na sad, na piękny choć niedokończony dom i na cztery hektary szarej ziemi, za polem, za drogą.

W sześć miesięcy później wuj umarł.

Dom otwarto dla wszystkich, którzy chcieli go ujrzyć na łożu śmierci.

— Jaki zły — mówili ludzie o-

puszczający dom żaloby.

— Jakby się gniewał.

glądać się po ludzkich twarzach, z tą myślą, która będzie jeszcze wyłączną własnością Szymona. Będzie to nawet trochę wesołe, tak zupełnie normalnie chodzić wśród ludzi, rozmawiać z nimi, siadać obok nich i mieć tę przewrotną świadomość, że oni o niczym nie wiedzą. A gdyby wiedzieli...! Otwieraliby wtedy szeroko przeżalone oczy, cofaliby się przed Szymonem i szepтали: Co? co? To okropne... Nie chcieliby z nim rozmawiać, nie chcieliby siedzieć z nim w jednym przedziale, uciekaliby przed nim, jak przed człowiekiem zarażonym lub winnym zbrodni.

Ta nowina (czy też rozkaz) wędrowała w życie dopiero tam, już na wsi, w ceglanym, wciąż niedokończonym domu, wobec synów, którym trzeba będzie bez ogródek powiedzieć:

— Zbliża się koniec.

Znów wszystko dzwoni w pokoju doktora — syby, zegar, szafka, bimbołki u lampy — ulicą toczy się wielka platforma, kłapią o bruk kopyta ciężkich koni, tuż pod parapetem okna ktoś przesusnął się z cichym pogwizdywaniem, platforma musiała być bardzo naładowana, sięgała prawie do pierwszego piętra. Mało brakowało, a do gabineu doktora zerknęłoby czyjeś obce oko. Szymon wzdrygnął się, cały na myśl, że ktoś w tej chwili mógłby go ujrzyć. Jak ja teraz wyglądam? — zastanawiał się. Rozglądał się po pokoju, ale nie było lustra. Przechylił się w krzesło, spróbował przejrzyć się w oszklonej szafce, nie dało się — światło padało prosto na szafkę. Jak ja wyglądam?

Przez całe życie zadawał sobie Szymon to okropne pytanie: Jak ja naprawdę wyglądam? Ilekrót chciał być stanowczy, silny i rozumny, ścigał brwi, zaciskał wargi, wysuwał szczękę do przodu, próbował nawet unosić w górę lewy policzek i lewa brew, ale na próżno: wciąż irytowało go przekonanie, że mimo tych wysiłków jego usta gną się w mdłym i dobroliwym uśmiechu, że jego oczy patrzą dziecinnie i żalostnie, że nie ma ostrej, szacunek budzącej twarzy wuja, ale twarzyczkę — jasną, niepoważną, li- tość i sympatię budzącą — twarzyczkę Gabrieli. Ilekroć znów chciał być dobry, wesoły i przez kogoś kochany! Ilekroć raz chciał się uśmiechać i zjedynować sobie ludzkie uśmiechy! Na próżno: wtedy uśmiech natrafiał na jakąś przeszkodę, jakby mu ktoś twarz spał kłamrami, jakby mu ktoś nałożył sztywną maskę — ostrą, złą, ponurą maskę wuja Diabła.

Jak ja wyglądam? Przez całe życie Szymon płochliwie i czujnie rozglądał się po świecie, szukając formuły na samego siebie. Szukał odpowiedzi w wyrazie ludzkich oczu, patrzących na niego, szukał odpowiedzi w swych uczynkach — ale wszędzie znajdował formułę podwójną. A największego zakłopotania doznawał, ilekrót pozostawał sam na sam ze swymi synami, z Henrykiem i Piotrem. Z jednej strony patrzyła nań jasna, naiwna, dziecinna twarzyczka Gabrieli, z drugiej posępna i surowa twarz, którą poczytywał za swoją, a w której rozsądku i bezwzględności, znacznie przewyższającej wszystko na co go w tym względzie było stać — rozeznawał z wciąż niewypłaconym upokorzeniem — twarz wuja Diabła.

O, jakże bał się Szymon Chmura owych sam na sam z synami. A cóż dopiero, kiedy stanie przed nim, aby im zakomunikować nieodwołalną decyzję, która zapadła w gabinecie doktora Z.

— Ach, więc tak — powie jasnowłosy, dziecinny Henryk — a więc was już nie będzie? Zostaniemy tylko we dwóch z Piotrem?

Szymon słyszy już gorczy i wyrzut w głosie Henryka. Henryk nie nawidzi Piotra. W głosie Henryka Szymon słyszy zdziwienie: jak to się mogło stać, że mam takiego brata jak Piotr?

Piotr spojrzysz ponuro na ojca i tylko kiwnie głową usłyszawszy wiadomość. Potem spojrzysz na Henryka i w jego spojrzeniu Szymon również wyczyta zdziwienie: jak to się mogło stać, że mam takiego brata jak Piotr?

Szymon drży, patrzy w okno uporczywie, jakby widział już przez nie drogę do domu i dom wysoki a krótki, wciąż okaleczony, wciąż kulejący na tę nigdy niedobudowaną połowę. Szymon już teraz nie może ukryć przed sobą. Szymon boi się synów.

Ilekrót patrzy w jasne, dziecinne oczy Henryka, oczy Gabrieli, ty- lekrót zaciska usta i unosi lewą brew w złym uśmiechu, jakby chciał mu powiedzieć:

— Jeśli masz mówić głupstwa nie mów lepiej wcale. Milcz i słuchaj mnie.

Ale znów, ilekrót patrzy na surową, bezwzględna twarz Piotra, chciałby gdzieś uciec i poskarżyć się Henrykowi:

— Popatrz jaki on zły — zły, jak prawdziwy diabeł. Chodźmy stąd. Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy wolni, gdzie będziemy się śmiać doli, gdzie ludzie będą się śmiać do nas, nie będą się nas bać, nie będą nam niczego zazdrościć, a my nikogo nie będziemy krzywdzić.

Tak jest, Szymon Chmura, właściciel czterech hektarów dobrej ziemi, okazałego, murewanego, choć niedokończonego domu oraz wspaniałego sadu, człowiek, którego wzorowa gospodarka wzbudza powszechny podziw i skrytą zazdrość,

Diabeł, anioł i chłop

człowiek, którego bezwzględność w sprawach gospodarskich wzbudza nienawiść i strach, człowiek bez reszty oddany swej gospodarskiej misji, znany ze swych nieugiętych, starych, gospodarskich zasad i ze swych twardych poglądów na sprawę własności, majątku oraz autorytetu wynikającego z posiadania, tak jest, ten człowiek podlegał niespodziewanym i nieokreślonym napadom dziwnych dla niego samego tęsknot i marzeń. Szymon Chmura krył się z tym starannie i dlatego swą ojciec miłością, troską oraz poważaniem otaczał młodszego syna Piotra, który był doskonałym, czystym jak szlachetny kamień wytworem starych zasad. Dlatego też Szymon zawsze potępiał starszego syna, w którego dzieciństwie umyśle zagnieżdżył się ziarna nowych, burzycielskich idei, dlatego właśnie go potępiał, że w nim samym odzywały się czasem tęsknoty tak niepoważne i lekkomyślne, jakby nie był ogromnym, kościstym stercem o zaciętej twarzy przypominającej bardzo poprzedniego właściciela niedokończonego domu, ale małego, mdłym blondynkiem o jasnych, marzycielskich oczach.

Jego starszy syn paradował często po wsi w zielonkawej, spłowiałej koszuli, z krótkim czerwonym krawackiem, zawieszonym u szyi. Otoczony chłopcami i dziewczętami w podobnych strojach, z których poważni ludzie śmiali się i nazywali błazniskimi, zachodził do domów, aby burzyć w ludziach stare zasady a zaszczepiać ziarna przewrotnych wątpliwości.

— Wszystko się zmieni — mówił — nie będzie ani bogatych, ani biednych. Nikt nie będzie nikomu niczego zazdrościł, nikt nie będzie nikogo krzywdził. Wszyscy będziemy razem pracowali, wszyscy będziemy mieli jednakowo — jeśli będziemy źle pracowali, będziemy biedni, jeśli będziemy dobrze pracowali, będziemy bogaci. Nikt nikogo nie będzie całował po rękach, wszyscy będziemy panami i wszyscy sługami. Będziemy wolni... Na niektóre słowa kładł nacisk i kiwał przy tym głową, tak jak się to robi opowiadając bajki:

— Będziemy pracowali, będziemy pracowali razem, nie będziemy się krzywdzić, nie będziemy się nienawidzić.

Ludzie słuchali go z zaciekawieniem i pytali:

— Powiedz nam, Henryku — a jeśli miał ktoś osiem morgów, a kto inny jedną, to ten co miał jedną będzie taki bogaty jak ten co miał osiem?

— Tak — odpowiadał z przekonaniem Henryk.

— A powiedz nam — jeśli ktoś miał stary dom, no, taką starą chałupę, która się już wali, a kto inny miał nowy, murowany dom — to co? To ten co miał chałupę będzie miał chałupę, a tamten jak miał dom, tak będzie miał dom? Powiedźcie jak to będzie?

— Pobudujemy sobie nowe, murowane domy. Wszyscy będziemy mieli jednakowe, jasne domy.

— Takie jak twój tata? — pytał czasem ktoś złośliwie. Inni śmiali się wtedy trochę, a Henryk czerwienił się i odpowiadał:

— Z tatą mi nie wyjeżdżajcie. Jak ja od taty dostanę moje dwa hektary, to je oddam do spółdziel-

ni i nie będzie już bogatego Szymona Chmury, będzie Henryk Chmura, taki bogaty i taki diabeł jak wy wszyscy.

Zdarzyło się czasem ojcu słuchać przemówień Henryka. Bywało to na różnych zebraniach i wiecach, na których zasłynął jako najlepszy mówca.

Henryk, jego syn, publicznie wyzwał się swojego ojca, publicznie potępiał swojego ojca, przekreślał wysiłek i dumę jego życia!

— Drań — mruzczał ponuro do ojca Piotr. — Widzicie ojciec, jaki to drań. Powinności go wydziedziczyć. Puści wszystko na zmarnowanie do kołchozu. To wariat i drań.

Szymon Chmura marszczył wtedy surowo brwi, tak aby nikt nie miał wątpliwości, że potępia swego starszego syna. A tymczasem wstrząsał nim dreszcz, podobny temu z jakim kiedyś słuchał bajdurzeń dziecięcej Gabrieli.

— Będę śpiewała, będę latała, będę opowiadała...

I niechże ktoś wytłumaczy jak to się stało, że poważny Szymon, którego życiowym ideałem był majątek i władza wuja Diabła zakochał się w dziecięcej, zuchwałej Gabrieli. Niechże ktoś wytłumaczy jak to się dzieje, że surowy i bezwzględny tak dla siebie jak dla drugich gospodarz, spadkobierca wuja Diabła, człowiek, który swą żelazną wolą umiał zwyciężyć narowy swej dziecięcej żony, ojciec tak rozumnego chłopca jakim jest Piotr, dziś jeszcze drży słuchając bajdurzeń swego starszego syna. Jak to się dzieje, że ten właściciel czterech hektarów dobrej ziemi, pięknego choć niedokończonego domu oraz wspaniałego sadu — ten człowiek zasobny we wszystko, słuchając słów swa marzy, aby być w takim świecie, w którym wszyscy by razem pracowali, w którym by nikt nikogo nie krzywdził, nikt nikomu nie zazdrościł...

Niechże to ktoś wytłumaczy Szymonowi Chmurze i wszystkim ludziom, którym nieraz przychodzi być własnymi wrogami, samych siebie nienawidzić, samych siebie krzywdzić, samym sobie zazdrościć i tak nic, nic ze siebie nie rozumieć, jak nic ze siebie nie rozumiał Szymon Chmura, czekając w pustym gabinecie na powrót doktora Z.

Dwie wskazówki na tarczy zegara zbliżyły się do siebie. Już miały się pokryć, dochodziła godzina dwunasta. Z głośnika za oknem chrapliwy głos powiedział:

— Podajemy sygnał czasu — po czym odezwał się przerywany piskliwy buczeł.

Dlaczego nie wraca doktor Z.? Już bardzo mało czasu pozostało do odejścia pociągu. A przecież Szymon chce jeszcze porozmawiać z doktorem Z. Ich rozmowa nie została zakończona. Doktor przecież zaczął pisać receptę. Doktor jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Jeszcze trzeba się go spytać, koniecznie trzeba się go spytać... W drzwi, którymi wyszedł doktor Z. Szymon wlepią spojrzenie pełne rozterki i strachu.

— Jeszcze nie, jeszcze nie, ja jeszcze nic nie zrozumiałem — zdają się mówić nagle rozszerzone, dziecięce, beznadziejne, nieskończone beznadziejne oczy Szymona Chmury.

Andrzej Kijowski

Pisarze wobec dziesięciolecia

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI:

(Dokończenie ze str. 5)

burżuazyjnego ustroju, w kraju kapitalistycznym, niż w ojczyźnie budującego się socjalizmu. Myślę, że na samym dnie tego głupiego żartu było — wbrew pozorom — dużo ciekawości do życia ułatwionego.

Heroizm pracy — i tego mnie również nauczyły nasze dziesięciolecie — jest bezspornie trudniejszy od heroizmu buntowniczej walki.

Nosząc w sobie owe niewyplenione do szczętu „anarchistyczne” pokusy, niejednokrotnie — jest to prawda, choć zabrzmi jak paradoks — zbyt łatwo poddawałem się i gotów jestem się poddawać narzuconej z zewnątrz dyscyplinie.

To nie oportunizm. To deska ratunku.

Jeśli kto tego nie rozumie, trudno mu będzie nieraz pojąć istotny sens wielu moich wypowiedzi — w mowie i w piśmie.

Niedawno pewien nasz krytyk literacki określił mnie jako „poetę małego lotu”. Wprawdzie od dawna już — i to mi chyba wolno — nie mam zbyt wysokiego uznania dla działalności owego krytyka, ale tym razem muszę szczerze przyznać mu rację. Rzeczywiście jestem poetą małego lotu.

Co się tyczy wysokości lotów — to wyznaję pogląd, że trzeba latać tak, aby nie tracąc z oczu dalekiej perspektywy, jaką winno być dla nas zwycięstwo socjalizmu w Polsce i w świecie, nie gubić też z oczu wszystkiego tego, co się aktualnie dzieje tuż pod nami na ziemi — aż do najbardziej z pozoru błahych spraw. I tak w miarę moich skromnych sił starałem się i nadal będę się starał latać.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI:

(Dokończenie ze str. 5)

Polska, Polska, której celem jest zbudowanie świata sprawiedliwości społecznej. A więc zbudowanie takiego społeczeństwa socjalistycznego, o jakim, jako młody chłopak marzyłem. Na pewno nie jest to praca łatwa, gdyż wymaga odmiany warunków materialnych i wychowania nowych ludzi. W istocie popelnia się przy tym wiele błędów. Ale czyż nie są to najbardziej uczciwe propozycje, jakie czyni się dziś człowiekowi? Czyż — pytałem siebie na koniec — mając lat szesnaście rozczynywałeś się z rumieńcami nadzłej w książkach dziełkach po to, by mając lat trzydzieści uchylać się od realizacji tego samego we własnym kraju? Jesteś pozytywny... — sam mówisz o sobie, inni tak nazywają ciebie ale diabła warty taki „pozytywny”, jeżeli równocześnie wrogowie nowego nie uważają się za twoich wrogów...

„Żywioty” podobaly się wszystkim recenzentom — to było nie-dobrze, skoro pochwalone zostały nawet w „Kuznicy” i w „Tygodniku Powszechnym”. „Kuznica” nie wyczuła zasadniczych niedostatków tkwiących w tej książce. Recenzent „Tygodnika” Paweł Jasienica chwalił tę pozycję, gdyż ona w jakiś sposób korespondowała z procesami w nim samym dojrzwiającymi (wyprowadzając je tylko). I znówu nie miałem wrogów. Natomiast książka nie podobała się czytelnikom. Gdybym miał przeświadczenie, że odrzucili ją ze względów na niepełność jej ideowych założeń i bałamutność jej tekstu — zgoda. Ale niestety mam pewność, że zawinił tu gatunek reportażu — tak bardzo mało poszukiwany przez polskich czytelników; jest to moja wieczna zgrzyota — ten brak zainteresowań odbiorców dla naszego reportażu krajowego. Ona to sprawiła, że zacząłem me ob. » eksperymenty z reportażem („Reportaż pedagogiczny” i „70 lat w dwa tygodnie”) — upartym milczeniem kwitowane przez krytyków. Ale wracajmy do „Żywiotów” — pozycja tak mi ważnej, a tak pechowej: chwalonej przez recenzentów (nie-dobrze!), unikanej przez czytelników (nie-dobrze!). Po sześciu latach od chwili ich wydania są już one tylko pozycją historyczną. Nie dlatego, że na Ziemiach Odzyskanych wiele się zmieniło, ale dlatego, że prawdy polityczne tam zawarte były tylko ćwierć prawdami.

„Piątka z ulicy Barskiej” już ma wyraźnych wrogów. Już ma czytelników, którzy ją gniewnym ruchem odrzucają daleko od siebie. Już odezwali się „przyjaciele” z „Wolnej Europy”, którzy skryci za pseudonimami, powołując się na koleżeństwo w „Czerwonych Tarczach” i — zapewne w „Przemianach” — obrzucili „Piątkę” stekiem niewybrednych obelg. Już niektórzy przyjaciele, przestali się kłaniać na ulicy. Ale równocześnie — ileż to tysięcy młodości i dorosłych okazywało prawdziwy entuzjazm po przeczytaniu mej „Piątki”. Nie, nie trzeba być pisarzem bez wrogów. Tacy pisarze nie mają przyjaciół. A tak się już dzieje, że czasem, aby móc wielu nowych przyjaciół uzyskać, trzeba niejednego starego utracić. I co dzień, co godzina, człowiek dorosły musi dokonywać wyboru ideowego i osobistego. Musi

Czy mi się to udaje — to już inna sprawa.

Zmarł mi natomiast — i to bardzo — praktyczny wniosek, jak i ów nasz znany krytyk wyciągnął z oceny mego sposobu latania tj. propozycja usunięcia moich wierszy z dotychczas obowiązującego programu nauczania współczesnej literatury polskiej w naszych szkołach.

Nie ciesząc się, niestety, szczególnie wysokimi krytykami, miałem dotąd niemałą uciechę z tego, że ich dzieci musiały uczyć się na pamięć moich wierszy. Dla zachowania tego (obok opublikowania jednego z moich wierszy w kalendarzu ściennym na miejscu, gdzie pierwemu można było wyczytać, co będzie jutro na obiad) najwyższego mego triumfu poetyckiego, gotów jestem nawet poprobować wnieść się nieco wyżej. Uczynię też wszystko, co jest w mojej mocy, aby dzieci naszych krytyków nadal czytywały moje wiersze. Nie uczynię tylko jednego: nie będę się kusił na górne ewolucje papierowego latawca, zachwycające jeszcze tego i owego zakonspirowanego niedobitka wymierającego już w Polsce plemienia pięknoduchów. Tego nie umiem.

Nie tak zresztą uczyli latać poetów Mickiewicz i Słowacki.

Niestety, za wielki lot — trzeba to sobie odważnie powiedzieć — uważają u nas jeszcze niektórzy podsakakiwanie charakteryzujące się z jednej strony aż tak szerokim uogólnieniem poetyckim, że właściwie nie wiadomo już, o co idzie (wielka metafora), z drugiej zaś — jałowym eksperymentem, dawno

już przez innych gdzie indziej dokonany i odrzucony na literacki śmietnik (wielka mistyfikacja czyli po warszawsku „wielka lipa”).

Spotykając się z na ogół życzliwą (poza cytowanym przypadkiem, noszącym raczej cechy wyjątkowości) obojętnością oficjalnej krytyki literackiej, od której nie dowiedziałem się od lat niczego, co by mi mogło pomóc w moich twórczych usiłowaniach, nie mam za to powodów do narzekania na czytelników. Nie szczędzą mi oni nieraz cennych uwag — surowej krytyki i serdecznej zachęty do dalszej pracy.

Czytelnictwo poezji w Polsce Ludowej — trzeba to z mocą podkreślić — jest niewątpliwie jednym z najbardziej fascynujących cudów, dokonanych u nas przez socjalizm.

Jeśli przez dziesięć lat przedwojennych — a mogę tu służyć jako przykład dość przeciętny, typowy — udało mi się osiągnąć ogólny nakład wszystkich moich ówczesnych tomików poezji mało przekraczający trzy tysiące egzemplarzy, to obecnie naprawdę nie umiem już doliczyć się sumy nakładów moich poetyckich publikacji, wydanych w ostatnim dziesięcioleciu.

No, i co najważniejsze nie ma ich już zupełnie w księgarniach. Nie chcąc posądzać „Domu Książki”, że je gdzieś starannie zapiekłował, mam prawo myśleć, że znalazły się one w rękach czytelników, z którymi dość często spotykam się na wieczorach autorskich.

Wieczory poetyckie — rzecz moim zdaniem również warta podkreślenia — podobnie jak książki poetów cieszą się u nas dzisiaj bardzo dużym powodzeniem.

Skoro już mowa o naszych czytelnikach — to z żalem muszę wy-

znać, że ich, obym się mylił, nie doceniamy i wbrew rozmaitym pięknym deklaracjom mamy wciąż jeszcze, najdelikatniej mówiąc, za mniej od nas kulturalnie wyrobionych. A najczęściej tak już nie jest.

Wydaje mi się — może nie mam racji — że nieraz byłoby lepiej, gdyby nasi poeci operali się w swojej robocie raczej na opinii czytelników niż na własnych nie zawsze trafnych przeświadczeniach.

To nie oznacza, abyśmy jako poeci mieli rezygnować z należnego nam prawa do ostatecznej decyzji o artystycznym kształcie dzieła — i nikogo z twórców do takiej rezygnacji bynajmniej nie zachęcam. Ocenę wartości dzieła uważam jednak za słuszną pozostawić w naszych warunkach społeczno-kulturalnych czytelnikom.

Któż bowiem są ci czytelnicy? Bez żadnej tromtadacji — to właśnie jest już dzisiaj nasz naród, któremu winniśmy swoją twórczością dopomóc w jego wielkim trudzie, z jakim dokonuje on przemiany swojego i tym samym naszego życia.

*

I tak oto zamiast krytycznej oceny mego — pozał się boże! — dorobku pisarskiego w dziesięciolecie dałem jakieś rozważania niepozabawione akcentów polemicznych.

A może tak i lepiej. Toć nasze dziesięciolecie, burzliwe i zarazem triumfalne, bojowe i pracowite dziesięciolecie budowniczych socjalizmu, niczego przecież nie zamyka — przeciwnie, odsłania przed nami coraz to nowe i nowe, wspaniałe możliwości.

Praca dla jutra i walka o jutro trwa. I toczy się dalej dyskusja.

*Stanisław Ryszard Dobrowolski

literaturę. Ale mam żal, gdyż właśnie jego doświadczenie pisarskie zastosowane do tematyki współczesnej pomogło by nam, pisarzom młodszym. Pomogło by warsztatowo, pomogło by autorytetem. Dlatego wdzięczni jesteśmy Jarosławowi Iwaszkiewiczowi za jego pozycję współczesne oraz Marii Dąbrowskiej za „Trzecią jesień”, choć nie wszystkim nam podoba się ona tak samo. Powieść historyczna? Dobrze! Ale trudno mierzyć jej wagę, wagą, jaką mają powieści współczesne — jako motor rozwoju samego pisarza i jako wpływ na czytelnika. Wie dobrze redakcja paryskiej „Kultury” co czyni, gdy wobec naszych powieści o tematyce współczesnej traci swój „obiektywizm”, gdy Stanisława Zielińskiego obrzuca wyzwiskami w rodzaju „socialistyczny Marcewyski” gdy „Obywateli” Brandysa miesza z błotem, gdy „Jaworowy dom” Macha klasyfikuje pogardliwie. Oni wiedzą, że te książki działają na czytelników i że one a nie piastowsko-jagiellońskie — kształtują w ich autorach postawę socjalistycznej i komunistycznej.

Nie, po stokroć nie! To nie adjuktorzy i wydawcy są winni słabości naszej literatury współczesnej. To nie „poprawiacze” przywaliłi noworodka poduszki, pod którymi się omalo nie udusił. To przede wszystkim niedojrzałość samego środowiska twórców podołała dziełku duchowo kalekie. Wskażcie mi choć trzy pozycje naprawdę dobre, które utopili wydawcy! Nie wierzę w pisarza, który ploszy się atakami krytyków na jego powieść o temacie współczesnym i dla świętego spokoju ucieka do XIX wieku. Nie wierzę w pisarza, który ustępuje przed racjami „poprawiaczy” i redaktorów — a jeżeli tak się dzieje to znaczy, że sam żadnych racji nie posiada. Wielki boże! Pisarze zaczynają wyrastać na mimoiży! Jednych dusi żywy wydawca, drugich obraża ostra krytyka, którą posłyszeli od kolegów na sekcji poezji, dramatu czy prozy. Tymczasem nasze krytyki i rozważania sekwencyjne są jeszcze ciągle za mało ostre, za mało gwałtowne, za bardzo uregulowane i przesłodzone. Bardzo byłoby dobrze, by częściej krytyki nasze przybierały formę artykułów takich, jakim był ten Kałuzińskiego o „Piątce” — bałamutny w niektórych sformułowaniach, lecz na pewno właściwy w swym tonie. Nabieżństwa nie służą niczemu. Istnieje wśród naszych krytyków mało warta praktyka: nazbyt ostrego sądu o dziesięcioleciu rozpatrywanym ogólnie — nazbyt łagodnego sądu w odniesieniu do poszczególnych książek i nazwisk. Trzeba było wtedy surowiej oceniać powieść Kowalewskiego „Kampania znaczy walka” — niech tytuł ten będzie symbolem — ale teraz za to zauważę generalną wartość całego okresu tak zwanych powieści produkcyjnych — wartość w stworzeniu której nawet ta zdzskwalifikowana przez czas „Kampania” miała swą pozytywną rolę, choćby jako bardzo jaskrawa egzemplifikacja błędów, jakich można było uniknąć.

Chciałbym tutaj zanuć pieśń pochwalną na cześć tematyki współczesnej w literaturze. Chciałbym przypomnieć to co wszyscy wiemy, że była ona zawsze opoką literatury i że jest opoką klasyki literackiej. Pięknie to kiedyś napisał Adolf Rudnicki, że nie przechodzi tamy historii dzieła, które nie angażuje się silnie w współcze-

snym autorowi czasie. Nie widzę wokół siebie nic bardziej interesującego niż przeobrażenie się ludzi naszego pokolenia oraz kształtowanie się pokolenia młodszego, dokonujące się pod podwójnym już ciśnieniem: nowego społeczeństwa i starych obciążań przekazywanych przez dom i nie tylko przez dom, przez to samo społeczeństwo nawet. Nie pojmuję człowieka, dla którego papierus jest ciekawszy niż zmaganie się sił ideowych w nim samym, w jego rodzinie, w jego dzieciach. I chyba warto ponosić nawet pisarskie klęski, ale móc pogłowić się nad sprawą dzisiejszego człowieka i móc dać jemu w trudnym pojmowaniu praw nowego życia pomoc. Są wśród nas tacy, co pojęcie realizmu socjalistycznego kwitują drwinami. Są inni, którzy do niemożliwości uściślając ten termin czynią go nieprzydatnym. A sprawa — moim zdaniem — jest bardziej prosta: literatura realizmu socjalistycznego pomagając czytelnikom poznać istotne — dialektyczne siły działające w społeczeństwie, pomaga mu w pełnym akceptowaniu socjalistycznej przebudowy świata. Jest nią, jeżeli do tego prowadzi. W tym pojęciu mieści się oczywiście również literatura historyczna. Aby jednak literatura historyczna była w pełni literaturą realizmu socjalistycznego badania naszych uczonych historyków muszą należycie rozwinąć się, wyprzedzając powieści, aby pomóc pisarzowi w tworzeniu jego książek. Natomiast we współczesnej literaturze przed pisarzem nikt już nie kroczy. On musi sam znajdować miarę socjalizmu w sprawach i ludziach. Dlatego współczesna literatura realistycznego socjalizmu tak bardzo pomaga równocześnie naszym czytelnikom i równocześnie nam samym.

*

...wobec dziesięciolecia!

Jakże trudno jest wywodzić sprawiedliwy i ostrożny sąd wobec czasów, w których się jeszcze żyje. Żadna ze spraw dziesięciolecia nie została zakończona. Wszystkie dopiero się zaczęły. Najmniejsze prawo do resumpcji ma nasza literatura. Jej dawna meta i nowy start nie przypadają bowiem na rok 1944, ale na środek dziesięciolecia.

Ale jedno jest pewne: te dziesięć lat było dla wielu naszych pisarzy gorącym czasem przemian i generalnie rzecz biorąc były to przemiany do socjalizmu, do komunizmu. Był to okres, w którym po pierwszych próbach mniej udanych, — a zdaniem moim absolutnie nieuniknionych! — zaczęły się pojawiać powieści udawadniające, że realizm socjalistyczny bynajmniej nie oznacza słabości artystycznej, jak chcieli wmówić w czytelników nasi wrogowie. Oczywiście tak już jest zawsze w literaturze, że stonkunkowo mało dzieł zaliczyć możemy do doskonałych. Ale jeżeli tego rodzaju sąd możemy wydać o kilku przynajmniej książkach niewątpliwie socjalistycznych to dziesięciolecie możemy podsumować z zyskiem.

A przeświadczenie, iż nie pracowało się na marne jest tak bardzo potrzebne każdemu z nas, każdemu z pisarzy, którzy chcieliby być twórcami właśnie literatury współczesnej.

Kazimierz Koźniewski

UKAZAŁ SIĘ NR 2 MIESIĘCZNIKA „ZESZYTY TEORETYCZNO-POLITYCZNE”

1954

(lipiec)

Spis rzeczy:

1. Mao Tse-tung — O prawidłowy styl w pracy partii;
2. P. Kolonicki — Krytyka i samokrytyka — siła napędowa rozwoju społeczeństwa radzieckiego

+

3. Nie opublikowane listy Maksyma Gorkiego o realizmie socjalistycznym
4. Z. Jermilow — O realizm socjalistyczny
5. H. Nikolajewa — O specyfice literatury pięknej

+

6. I. Wiazmin — Formy wzięły ekonomicznej między miastem i wsią w ustroju socjalistycznym
7. Kiang Su mo — Prawa ekonomiczne w warunkach nowej demokracji w Chinach

+

8. I. Chrlenow — Powstanie łódzkie 1905 r.

+

9. S. Mur — Sprawa księży-robotników
10. D. Zasławski — Obskuranci z Uniwersytetu Harwardzkiego

DYSKUSJE

11. B. Kiedrow — Stopniowość jako jedna z form przejścia od starej jakości do nowej

RECENZJE

12. S. Tarasow — Wydawać więcej popularnych broszur
13. M. Dawydow — Wszelchnonnie opracowały zagadnienie roli mas ludowych w historii, w budownictwie komunizmu
14. M. Moissonnier — Historia narodu francuskiego widziana oczami p. Duveau, czyli od antykomunizmu do „wspólnoty europejskiej”

KRONIKA

W sprawie przygotowania wlotomowej „Historii Powszechnej”. W Instytucie Historii Niemiec przy Uniwersytecie im. Marcina Lutra w Halle-Wittenbergu.

BIBLIOGRAFIA

„Zeszyty teoretyczno-polityczne” są do nabycia we wszystkich kioskach PPK „Ruch” oraz w księgarniach „Domu Książki”. Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje każdy Urząd Pocztowy.

CENA W PRENUMERACIE

kwartalnej zł 12.—
półrocznej zł 24.—
rocznej zł 48.—

Cena pojedynczego zeszytu zł 4.—

„KSIĄZKA I WIEDZA”



HELENA BOGUSZEWSKA I JERZY KORNACKI

M A T K A

Czy to już koniecznie musimy być tak wysiwni na publiczny widok? — doktor semko zmienia się nagle, już ode drzwi. Wskazując na okno, słyszy swój własny głos, w tej chwili niezbyt przyjemny, zupełnie inny, niż w drodze, w rozmowie z towarzyszącą mu młodą lekarką.

Ona także zmieniła się od razu. — Wszystko dobrze, ale ty Janko przecież wiedziałaś, że o trzeciej mam być zgola gdzieś indziej! — ktoś siedzący przy stole odwrócił się ku nim twarzą. Nie ktoś, tylko ten sam młody człowiek, co wczoraj... Nie od razu przypomniał, żeby się przywitać.

— Nie mogłam! Więc się spóźniłam! — z milczącą, zatroskaną przewodniczką, Janką przenierzącego się nagle w kogoś zadomowionego tu od wieków, w kogoś wszedobylskiego, ruchliwego jak mysz. Zrzuciła pałto, teraz pomaga rozebrać się koledze, oba piaszcze wieszają na wysoki gwoździe na drzwiach, i razem ze starą kobietą łagodną i wyraźnie zastracaną, biegnie do okna. Czyżby chciały je zawiesić tak grubą cienną chustą?

— Pardon! To chyba już najskuteczniej będzie zwracało uwagę! — doktor Semko znowu słyszy swój własny, leciuteńko ironiczny głos. Miły, rzewny nastrój sprzed kilku minut, nastrój ogrodu pobernardynskiego z zielonym cieniem starej alei i z odwiecznymi ławkami, pokrytymi mnogością wyciętych imion i serc całych pokoleń gimnazjalnych, zmienił się momentalnie w nastrój półmrocznej, dusznej, zastawionej gratami „izby chorego”, jak doktor Semko zwykły mawiał.

Dawno minęły te czasy, gdy biegła po „etrach”, „po chorych”. Od lat przyjmował albo w szpitalu, albo w domu u siebie. Uważał a nieprzyjemnie raz jeszcze zza okularów przyjrzał się młodzieńcowi, który go nakłonił do tej eskapady tutaj. Młodzieniec już znowu siedział przy stole, bokiem, z wyciągniętymi nogami, jakby nie brał w tym wszystkim najmniejszego udziału.

— Dziwni oni są ludzie! — pomyślało się doktorowi Semce, wciąż czekającemu, aż kobiety, ta młoda i ta stara, uporają się wreszcie z jakąś inną zasłoną, lżejszą i w kwiatki.

Okno wychodzi nie tylko na podwórce, ale na okna tego samego piętra bocznej oficyny.

— Można było, co prawda, wcześniej o tym pomyśleć! — już z widocznym wyrzutem mówi doktor Semko, rozglądając się po izbie chorego. Samego chorego jeszcze dobrze nie wypatrzył, raczej tylko odgadł w podłużnym, nieruchomym, okutym kształcie na łóżku. Izba nawet obszerna, głęboka, ale zastawiona postaniami, gratami, bo jeszcze połowe łóżko i jeszcze koszykowe... Pośrodku stół, przy którym właśnie rozsiadł się tamten młody człowiek, podobny do marynarza.

Nieswojo poczuł się doktor w tej chwili, na samą myśl, jak dobrze został obejrzany i zapamiętany razem ze swoją teczką z narzędziami przez wszystkie okna tamtych niskich, odrapanych oficyn.

— Dziwni oni są ludzie! — pomyślał jeszcze raz.

Ale już myjąc ręce długo i starannie w miednicy z ciepłą wodą, robi się znowu inny, poważny i baczny.

— Jak dawno był ten postrzał? A temperatura? Zobaczymy, czy to będzie dolny łuk żebrowy... Ale czy aby nic nie jadt? — podejrzliwie patrzy na matkę, podającą mu czyściuteńki ręcznik z komody, a pełną wyrzutów sumienia i niepokoju, że zdążyła dzisiaj rano wlać w syna nadobnie kakao. I jednocześnie dumna z tego, że trochę go pożywiła.

Bo czy to taki chory może wytrzymać na samej czarnej kawie, co mu się nią aby zwilży usta? Skąd ma brać swoje siły?

— Surowica już wczoraj? Ślicznie! — doktor Semko czuje przypływ łaskawej sympatii do młodej lekarki, że nie będzie musiał siedzieć tutaj przez całą godzinę, żeby sprawdzić, czy nie ma zacerzawienia w miejscu nakłucia po pierwszej próbie wstrzyknięcia preparatu przeciwtężcowego.

Stara kobieta, matka, najwidoczniej jednak ma niezbyt sumienie!

— Co on tam wypił tego kakao, proszę pana doktora, tyle co kot napłakał!

— Coo? — doktor Semko nie rozumie. Co więcej, nawet nie stara się zrozumieć. Zawsze był wrogiem śmiertelnym wdawania się w rozmowy z członkami rodziny chorych. Mrużąc oczy za szklami, rzuca matce ręcznik i zbliża się do łóżka. Teraz znowu jest inny, spokojny i wladczy, zupełnie jak w szpitalu, gdzie wszyscy drżą przed nim.

Ogląda się za siebie. Przy stawianiu pierwszych diagnoz lubi być sam na sam z chorymi. Wszystkie inne przeszkadza! Krzesła nie trzeba także! Po diabła krzesło!

Dopiero gdy wszyscy odeszli, doktor Semko z namysłem odkrywa kołdrę.

W porządku! Na czyściutekmy przewiązaniu, może trochę za dużym, gumowy czerwony worek z zimną wodą. Położenie ciała także jak trzeba, na płask. W tej chwili nie ma znaczenia przymglony a jednocześnie szklisty wyraz oczu w

ciemnej twarzy chorego. Nie ma znaczenia suche odemknięcie warg, odsłaniające zęby górnej szczęki. Nie ma znaczenia bolesna bruźda na czole nad zdziwionymi brwiami... Chce patrzeć na ręce doktora Semki na swoim ciecie? Niech patrzy! To także nie ma znaczenia...

Czwarty dzień od postrzału! To bardzo dobrze, bardzo dobrze, że chory nie pozwolił sobie przemysłać rany wodą, nawet studzienną! Bardzo dobrze, że nie chciał zjeść lanych klusek na mleku, ani kaszki marmelady, także na mleku... Tutaj teraz zabolalo? Ale tutaj nie boli?

Rys Wietrakowski z gorliwą gotowością poddaje się wszystkiemu, o wszystkim chciałby mówić. Woli nie patrzeć teraz, oczami pełnym bólu, na ręce tego doktora na swoim ciecie! Ale chce mówić i mówić. Dlaczego ten doktor nie pyta, czy strzał był z bliska, czy z daleka, i czy karabinowy?

Poniżej ostatniego zebra, po lewej, trzy palce przestają naciskać i laskotać. Doktor ogląda się poza siebie.

— Raczej nie otrzewna! Moim zdaniem, kula utkwiła w śledzionie... Oczywiście, szpital, jak najprędzej! Bo teraz, tutaj...

ca, zdawała się wspomagać w odmowie doktora Semkę.

Ale czy doktor Semko potrzebuje takich kobiecych pomocy? Jakby rzucił się w tej chwili w głęboką zimną wodę. Przecież nie może pomóc człowiekowi żaden drugi człowiek w walce ze strachem! Trzeba przełknąć ślinę, trzeba samemu opanować drobne drżenie rąk, trzeba słowem odpowiedzieć nadek mekie brzmienie, zwyczajne, od niechcenia...

— Można czekać do jutra! — mówi doktor Semko, od niechcenia, zwyczajnie. — Jeżeli wbrew temu, co powiedział młody człowiek, miejsca nie znajdziesz gdzie indziej... Postawmy jednak jakiś termin! Jeżeli do jutra do godziny dziesiątej nie zjawicie się z rannym u mnie, to będzie znaczyło, że już się nie zjawicie...

— Do jutra, do godziny dziesiątej! — powtórzył z nagłą pasją.

II

— Na krzyż, czy może wolałby kolega w gwiazdę? — zaczętnie pyta doktor Semko.

Młody człowiek, jakby cokolwiek zaskoczony, jednak dalej wpatruje

na banda... I bezwzględnie nie nie jeść! — doktor Semko mruży oczy w stronę matki. I znowu do „kolegi”, z żartobliwym uśmiechem, że jednak bywają takie wypadki, kiedy wygodniej ciąć ranę na krzyż, po prostu na krzyż, a nie w gwiazdę...

I znowu do matki, jeszcze raz, ale już zupełnie na wesoło, że widocznie źle syna swego wychowała, skoro wdał się w pijatykę z kompanami, i oto teraz leży pokiereszowany. — Tylko trzeba ustalić, czy szkłem od butelki, czy zwyczajnie nożem pod żebrzo?

Roześmieli się wszyscy. Ale matka nie wie, co odpowiedzieć, więc tylko kłania się panu doktorowi. Kłania się nisko. Kłania się po staroświecku, prawie aż do ziemi.

Na samej podłodze by się rozłożyła w podzięce za swego syna! Wprawdzie wcale nie rozumie, co doktor powiedział, ale ufa, że potem Janka wszystko to jej wytłumaczy, też się uśmiecha, tym najbardziej nieśmiałym i wdzięcznym z uśmiechów świata.

Tymczasem doktor Semko nagle poważnieje:

— To wcale nie są żarty! Proszę zapamiętać, że rana syna jest cięta,

znowu się podniosła, żeby zdiąć z okna to całe zasłonięcie, seledynowe w kwiatki. Oczywiście, że mogło sobie wisieć! Ale także mogło jeszcze bodaj na chwilę odwiec, albo skrócić groźbę tamtej rozmowy.

— Wiem, wiem, panie drogi, że panu śpieszno! Już po drugiej kwadrans, a pan na trzecią? Ty, synu, się nie kręć! Na płask masz leżeć... Jeszcze, panie drogi, tylko żeby zasłonięcie! Kuzynka kupiła na kapkę na łóżeczko dla mojego wnuka... A mnie starej już za ciężko drapać się na stolek! — z aprobatą patrzyła, jak Piotruś Krajewski ostrożnie, bez pośpiechu drapał się na stolek, najpierw z tej strony, potem z tamtej strony.

— Pięknie panu dziękuję!... Ty się, Rysiu, kładź! I jeszcze tylko jedno, bo już sama nie wiem... Ten ocet! Bo pan doktor chyba nie nie mówił, żeby octem wycierać, ale jak gorączka... Panie drogi, może jednak? To cieplem najlepiej, a mam ogień pod blachą!

— Matka nie przeszkadza! Zadnego octu nie chcę...

— Synu, może jednak?

Ale Rysio niecierpliwie machnął na nią łokciem.

— W tej chwili mi oddajcie! —

Ranny tylko dyszał. Więc Pietrek dalej swoje:

— Wyglądało na to, że właśnie już zdaszcie... Więc o co wam chodzi? Zeby z powrotem wam oddać? Po co broni choremu? — jakos bacznie mu się przyjrzał. — Chcecie, pod poduszką żeby leżała? Nie rozumie was! — ruszył się z nagłą złością. — Tam inni czekają! Będziecie zdrowi, dostaniecie przydział, jeśli dowództwo uzna...

Ranny jęknął. Z powrotem wyciągnął się, opadł. Szepnął jakby z namysłem, mrugając oczami:

— Dowódtwo? Gdzie dowództwo? Ładnie bym wyglądał, gdybym zwał każdym!

— Czyli, że ja lę? Bez dowództwa działamy?

— Działacie, działacie...

— Nie działamy? A Matkunia?

Sami mówiliście, że byliście od wybuchu o dwa kilometry. Dlatego musieliście kręcić tak i owak nad Bugiem...

— Bo tak było!

— Posłuchajcie, towarzyszu! W trzech miejscach, słyszyście? Jednego dnia, ósmego, równo przed tygodniem, w trzech miejscach jednocześnie, Warszawa — Małkunia, Warszawa — Lublin, Warszawa — Koluski... Kto powysadzał tory? Przecież nasi chłopcy, nasi ludzie!

— Jacy nasi ludzie?

— Głupie pytanie! Nie myślicie chyba, że tylko wy jesteście?

— Na razie ja jestem! Oddajcie teraz tamto... Mam prawo, powieście, mam prawo, żeby widzieć Witolda?

— Witolda? Wcale nie wiem!

— Nie wiecie?

Pietrek zgarnął włosy z czoła do tyłu. Wstał i zaczął cnotnie, r'opatrzał na zegarek.

— Gdyby was skądinąd nie znano, towarzyszu, to nie ręczyłbym za was... — popatrzył na drzwi. — Dalej nie rozumiecie, co to jest trzecie Gwardia Ludowa? Jeszcze raz powtórzę! Zgłosiliście się do nas, ale to nie wszystko... Nie jesteście przyjęci! Musimy się przyrzec... Owszem, weryfikacja! Ale sobie wiedzieć, że ja powiem o was minus! Tak jest, z wielkim żalem, ale powiem o was minus... — dokończył twardo.

— Powiecie, co chcecie! Wtedy i ja odpowiem... Teraz chcę mieć spokój! — twarz rannego surowiała. — Porządnie przeliczcie, było piętnaście luzem...

Ale Pietrek Krajewski jeszcze mu się przyjrzał, nim sięgnął do kieszeni...

Jednak rozłożył na stole, najpierw tamte naboje, nasypane w gazetę. Głośno przeliczył: — Trzy, pięć, dziesięć, dwanaście, trzynaście, piętnaście...

Potem z drugiej kieszeni wyjął drobny, ciemny, połyskliwy rewolwer.

Na schodach były kroki. Chciał nakryć gazetą, ale to weszła tylko matka. Niosła wodę w kubie.

— Oddaję, jak pani widzi! — powiedział i westchnął. — Pani synu od razu chciałby do dowódtwa! My nie lubimy takich! U nas przede wszystkim...

I przeraził się nagle. Musiał się obejrzeć. Zobaczył jej oczami: ranny jedną nogą jakby zjeżdżał z siennika. Dopiero teraz, do reszty, zestrząsnął mu te oczy, niebieskie i szkliste...

— Czekaj, Rysiu, czekaj, czekaj... Wody, panie drogi! Tam w kubelku... I ten ręcznik, o ten, ten! I jeszcze flaszką z octem, na kucni... Ręcznik niech pan wymie, panie drogi, panie drogi!

Naprawiła coś? Jakby porwane nici wiązała z powrotem! Jakby składała, co już potłuczone, odpadało w odlamkach... Ale jak to się stało, że Rysio wcale nie zemlał, i że tamten jak przy stole krzywił się i groził, tak teraz leje ocet na wyżęty ręcznik? Niech nie podaje matce! Niech sam własną ręką położy go przy Rysiu, o tutaj, na głowę, o tutaj, tutaj...

Nie nie rozumiała! Rewolwer z nabojami sama by najchętniej wyrzuciła za okno. Dobrze chciał pan Pietrek, że chciał to z domu wynieść! Ale przecież matka, więc musi z synem trzymać, z tym obcym, upartym, niechętnym, przemadzałym...

Może gdyby więcej miała ich, dzieci swoich, gdyby nie pomarli... Ale ma jednego Rysia! Jaki jest to jest... A ojca Wietrakowskiego, czyli swego męża, czy nie bała się więcej, niż całego Gestapo? Jednak u miała wtedy dla małego Ryska odebrać, uratować taką marmurową miseczkę z gołębiami, którą Rysio wygrał na loterii fantowej, a stary się uparł, żeby ona jako była, czyli, znaczy się, na popiełniczkę?

Rozczapierzona ręka, ciemna, pomarszczona, z powrotem do gazet zgnęła tamte naboje. Teraz trzęsąc, bojąc, zbliża się, znów idąc od tej strasznej zabawki, drobnej, ciemnej, lśniącej na zielonej serwecie. Jednak jakoś go ujęła, jak ropuchę, w palce, ten rewolwer...

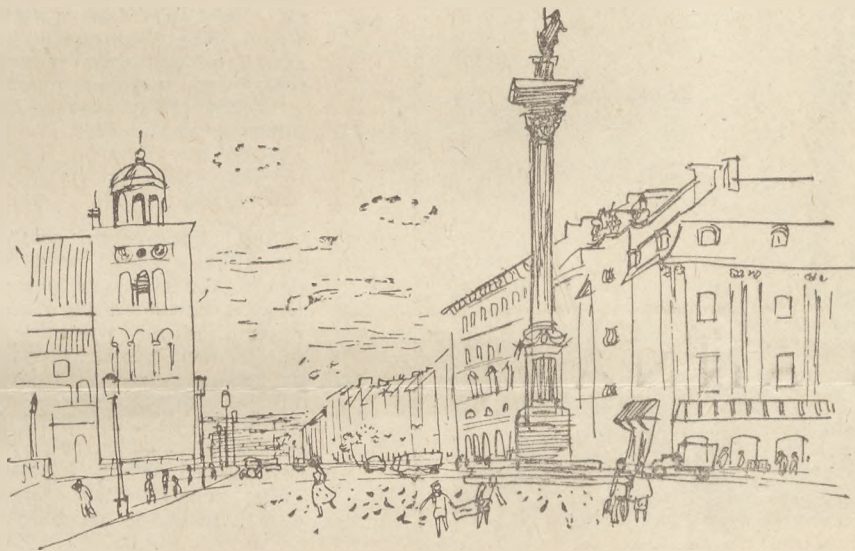
— Panie drogi, może pod bielnię! Pod szafkę?... Zeby miły nie znalazł! A ty, Rysiu, spokojnie, najlepiej jak zaśniesz... Może szrotką go zasnąć? Głębiej, jeszcze głębiej pod tę szafkę, panie drogi...

Helena Boguszevska
Jerzy Kornacki

(Fragment powieści „Las”, która ukazuje wkrótce nakładem Wydawnictwa Wn)

STANISŁAW ZIEMBICKI

Z wierszy o Warszawie



Rys. K. Ferster

MOJE MIASTO

Moje dawne jak dzwonek szkolny, utracone.
Uczono moje, stale od ciebie się ucze.
Moje niezastapione. W jaką pójdę stronę?
Ty jesteś moją stroną, nigdy cię nie rzuce.

Ulicą twoją idę, Wisłą twoją płynę.
Twoje krzywe latarnie na Solcu zapalam.
Co dzień wstaję do ciebie, co dzień jesteś inne,
Ogarniasz mnie, gdy ciebie ogarnąję się staram.

Daj mi twoją świecistość i twoją strzelistość
I niecierpliwą twoją. Nade wszystko daj mi
Prostotę swą, bym chodził jak piaskarz nad Wisłą,
Pod pomnikami siałam i gołębie karmił.

Kocham ciebie. Na skarpie wiślanej zostanę,
Gdy odejdę. Dziś tylko stanęłam na moście
I patrzę w twoich dachów rąbki pozicane.
I rośniesz w moich oczach. I serce mi rośnie.

Wszystko jakby zawisło w powietrzu, pełnym napięcia.

— Cóż tutaj można zrobić? — zastanawia się doktor Semko. — Zamienić ranę wlotową, postawiało na ciętą? Chyba to tylko! Zawsze ułatwienie, jeśli chodzi o szpital... Z takim obrazem rany nie radziłbym próbować, bo nie tylko, że nie przyjmą, ale w czasie dzisiejszym ze wszech miar niewskazane! Ktoś zacznie dochodzić, dlaczego postrzał...

Stara kobieta z twarzą nie ale to nie nierozumiejącą kurczy się w nogach łóżka, dokąd przydreptała. Młody człowiek oderwał się od stołu i jakby przyciągnięty magnesem zbliżył się także, ale od innej strony. Patrzy w milczenie; jakby ktoś przylotyl mały pieniążek, taki jest otwór, suchy, otoczony ciemniejszą, brudnym rąbkim... Nawet szkoda gadać! Od razu każdy pozna, że to od postrzału...

— Dzisiaj już nie zdaje, ale jutro na pewno będziemy mieć szpital dla towarzysza! — oznajmia krótko. — Chyba, że pan doktor mógłby już dzisiaj, na swoim oddziale... — dodaje wahająco.

Milczenie.

— Stan serca, dzisiaj jak rano badałam, nie był zły! Kolego, jeżeli myślicie, że do jutra można czekać... — od kuchni niepostrzeżenie zbliżyła się koleżanka. Gotowała tam narzędzia na wszelki wypadek, cicha i czujna. Teraz stoi blisko z tymi swoimi słowami, niby z jakimś ratunkiem w najtrudniejszej, w najprzykrejszej chwili decyzyj.

Doktor widział, jak pytająco, nieledwie groźnie, spojrzał na żonę młody człowiek o twarzy marynarza. Zamiast jejmu przyjść z pomo-

sią z aprobatą w mocne palce chirurga, igrające lśniącym skalpelem. Postrzałałowa rana, prawidłowość jej otworu wlotowego, za chwilę zmieni się do niepoznaki. Świętyni kawał! Młody człowiek uśmiecha się mimo woli, a od tego uśmiechu od razu mięknie jego posępna, prawie groźna twarz.

— My zawsze wolimy w gwiazdę! — odpowiada z zuchowatą przechwałką, jak mały chłopak.

— Jak mam to rozumieć, kolego? Teraz nożycki podajcie, z łaski swojej... — spokojnie, niemal taskwie pada sponad rany, sponad błysków skalpela, przerywanych matowością tamponów. Szybko odrzucane, na różowo barwią wodę na dnie wazy do zupy. Że też nie czego innego nie wymyśliła sobie matka, stara kobieta z wypłakanyimi oczami, patrząca teraz od komina.

— Jaki tam ze mnie kolega! — po chwili odpowiada młodzieniec. — To już raczej ona... — wskazuje na żonę, szykującą nowy tampon.

— Na koleżance, to ja już dawno się poznałem! — łaskawie chwali doktor Semko. — Skończcie! — rozprostowuje plecy i robi taki ruch, jakby oddawał chorego w ręce koleżanki.

Przez cały czas nikt na chorego nie zważał. Wszystko się sprowadzało do małego miejsca pod ostatnim żebrzem, na lewo. Tylko jedna matka, przy pierwszym syknieniu syna odeszła do płyty kuchennej, żeby szuraniem garnków zagłuszyć postękiwanie, pojeżdżanie swoje własne.

— Teraz leżeć na płask, tak samo, i dalej zimne okłady, na opatrunkę,

zadana szkłem butelki, w bóje, po pijanemu! Najlepiej, po pijanemu... Mogą być duże kłopoty, więcej niż kłopoty, jeśli ktoś się pomylł przy zapisywaniu w szpitalu, w kancelarii...

Matka znowu nieruchomieje. Prawda, tak, w szpitalu! Jakże mogła być tak głupia i myśleć, że to „skónczone, że kula już wyjęta! Przecież wcale nie wyjęta...

— Zaczekajcie, towarzyszu, już się wybieracie? Jeszcze nie skończyliśmy... — z łóżka słabo i bezskładnie mówi Rysio do Pietrka. Wszyscy się ogłdają. — Nie pójdziecie tak! Musicie oddać przedem...

— Zostań jeszcze! — nieznacznie szepcze do Pietrka jego żona Janka. I dodaje głośnie: — Ja sama kolego odprowadzę, jak przyprowadziłam! Potem do Helki pojadę... Dziękujemy za wszystko!

Przez chwilę krótką jak mgienie doktor Semko dojrzał na twarzy koleżanki niki uśmiechek, który miał być serdeczny, a był tylko grzecznicie obcy, i zaraz znikł bez śladu.

— Dziwni oni są ludzie! — jeszcze raz pomyślał, mrużąc oczy za szklami.

III

Rysio zdawał się drzemać. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na wyjście doktora z Janką. Dopiero gdy drzwi stuknęły, usiadł sztywno na łóżku, od razu wytrzeźwiony, jakby tylko na to czekał. Pomacał obu rękami po sienniku, po kołdrze.

— Znowu będą się kłócić! — pomyślała matka. Ledwie przysiadła na krzesłku przy kuchni, ale zaraz

dyszaco, nagłaco, prawie z krzykiem przywołał towarzysza Pietrka. Tamten stanął przy łóżku.

— Taki sam, jak mój Rysiek! — pomyślała matka. — Jak takich dwóch się zjeździe, to muszą się kłócić, Panno Najświętsza! Niechby się kłócili, już po wszystkim... A tutaj czwarty dzień już idzie, jak w Rysku siedzi kula...

Postarała nagle. Znow sunęła do kubia. Spróbowała ręką. Nic nie warta taka woda! Leć, matko, do studni, świeżej, zimnej przydzwigaj, a on wtedy krzyknie, że już nie chce okładu. — Pani Wietrakowska, czy pani da mi spokój? — tak dzisiejszej nocy rozkrzyczał się na matkę. — Pani Wietrakowska! — żeby Sylwestra niby zmylić, że nie syn i ojciec, tylko pan Józef Wróbel, kolejarz znajomy jeszcze z grochowskich czasów...

A Sylwester takie dziecko! Nic ojca nie poznał po trzech latach rozłączenia! Dobrze, że nie poznał! No to niech już tak będzie!

Tamta wodę zalała. Poszła z kubłem po nową. Nie spostrzegł się! To i dobrze, bo nareszcie można będzie sprawdzić, czy za drzwiami co słychać, gdyby nie dał Boże ktoś taki szedł po schodach i ciekawil się, co za drzwiami gadają...

Nie nie było słychać. Rozmawiali niegłośno.

— Już raz powiedziałem! — Pietrek przysiadł na łóżku. Dodał innym tonem, spokojnie i łagodnie: — Minus, towarzyszu! Będzie na was kreska minus... Przecież nie wy jedni! Każdy, który się zgłasza, powinien zdać wszystko... Od tego się zaczyna!

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

Niełatwy egzamin pióra



Wanda Żółkiewska

Cytując ten publicystyczny komentarz, trzeba od razu powiedzieć, że nie jest on ani przekonujący, ani potrzebny, podobnie jak rys autobiograficzny ukazujący drogę rozwoju ideologicznego autorki. O rozwoju tym bowiem, o założeniach wychowawczych mówi aż nadto wyraźnie sama książka, poprzez obraz artystyczny, i to jedynie się liczy. „Egzamin serc” jest szczególnie mocnym dowodem, jak przekształca się warsztat pisarza młodzieżowego w oparciu o realny kontakt z młodzieżą, jak znajomość życia i potrzeb młodego czytelnika decyduje o kształcie artystycznym utworu, o jego walorze wychowawczym.

Autorka, podejmując w swym utworze wielką, najbardziej bojącą problematykę przeszłości, której zakres tematyczny można by sformułować: „udział młodzieży w rewolucyjnej walce klasy robotniczej”

woce tego zwycięstwa utwierdzać „Akordeon Łukasza”, w którym jest wiele momentów wzruszających, najlepszym z poprzednich opowiadań nie dorównuje, są tu bowiem pewne uproszczenia i niedostateczne pogłębienie psychologiczne wątków o charakterze sensacyjnym — służą nie tyle odtworzeniu fragmentu współczesnej rzeczywistości, ile nawiązaniu do niej, spełnia rolę apelu skierowanego bezpośrednio pod adresem współczesnego czytelnika, apelu uprzątnięcia mu z naciskiem że i on, podobnie jak pokolenia jego ojców i dziadków, jest żołnierzem na froncie walki o lepsze jutro.

3

Podczas dyskusji, która odbyła się nad „Egzaminem serc” w ZLP, padały zarzuty, że mimo wszystkich

drówkę Staśka po ulicach Łodzi objętej rewolucyjnym wrzeniem.

Do wytworzenia rewolucyjnego nastroju w poważnym stopniu przyczynia się umiejętne kreślenie postaci. Na uwagę zasługuje tu przede wszystkim stosunek bohatera do rodziców, ich przekonywano, nakreślone sylwetki na tle doskonałe odtworzone atmosfery domu.

Może nie zawsze jeszcze udają się autorce epizodyczne „czarne” postacie, które wprowadza na scenę jako reprezentantów bogatych, wrogów rewolucji środowisk (majster Michałowski, „Aligant”, który reaguje na pojawienie się Franka w domu Staśka w sposób zbyt wyraźnie uwidnawiający tendencję autorki, o wiele ważniejszy jest jednak fakt, że nieraz kilkoma rysami i w sposób niezwykle ciepły umiała nakreślić postacie „szeregowych” ludzi rewolucji (Szafranska, Barbara, nieznaną kobietą w tłumie kolpor-

zbiorze najdojrzalsze, najgruntowniej przemyślane. A przecież i „Tajemnica Janka” ma duże wartości, których wcale nie umniejsza fakt dość wyraźnego podobieństwa do wielu opowiadań radzieckich z okresu okupacji hitlerowskiej. Przyjaźń wiejskiego chłopca z żołnierzem, jeńcem radzieckim, którego uratował i którego losem zaopiekował się „na własną rękę” — ukazana jest z dużym wyczuciem psychologicznym i ujmującą bezpośredniością, opowiadanie ma ponadto najbardziej spośród wszystkich atrakcyjny fabularny wątek i „szczęśliwe” w prostym, życiowym sensie zakończenie.

Najmniej może udane jest opowiadanie zatytułowane „Powrót Olka Szymczaka”, choć tutaj autorka najsilniej pragnęła zaakcentować problem walki z tendencją do „ułatwienia życia”. Ciekawej koncepcji (problem ucieczki chłopca ze środowiska nędzy i ciężkiej pracy, w którym się wychował, do lepszych warunków życia oraz jego powrót) nie dorównuje artystyczna realizacja. Droga jaką przechodzi Olek, nie jest przekonująca psychologicznie, jak w opowiadaniach poprzednich. Dzieje się tak prawdopodobnie, że nie umiała konsekwentnie skoncentrować toku opowiadania wokół przeżyć Olka. Obraz środowiska, które wciągnęło chłopca, jest uproszczony, postacie schematyczne. Nie była potrzebna aż tak przejawiona postać wujka, aż tak ośmieszona postać ciotki, ani ujawnienie sklepikarskich machlojek, by uwypuklić narastającą w Olku odradę do tego środowiska i uzasadnić drogę jego powrotu. Sceny podpatrzone przypadkiem, które tak istotną rolę grały w „Czerwonym szaliku”, tutaj wypadły sztucznie (np. obserwowanie przez okno rozmowy Anki z ojcem Olka). Są to jednak jak gdyby „podpórki”, którymi posłużyła się autorka w realizacji swej koncepcji, i wskutek tego wymowa „Powrotu Olka Szymczaka” jest słabsza. Trudno jednak wymagać wyidealizowanego poziomu wszystkich opowiadań cyklu, i na ogół niewielu autorom się to udaje.

4

Nad „Egzaminem serc” odbyło się kilka dyskusji w gronie młodzieży. Czytelnicy w obecności autorki wypowiadali się o książce, dowodząc, że nie wszystkie postacie są dla nich przekonujące. Byłoby rzeczą potrzebną i słuszną, by autorka omówiła szerzej w prasie wyniki tej dyskusji, byłoby to cenne dla wychowawców i krytyków. Rozbieżność oceny krytycznej z reakcją młodzieży jest zastanawiająca i zasługuje na bliższe zoda-

nie. Czyżbyśmy mieli już do czynienia z tego rodzaju zmanierowaniem młodego czytelnika, z takim jego uprzedzeniem w stosunku do przeznaczonych dla nich literatury współczesnej, że książka Żółkiewskiej dobitnie świadcząca o codziennym kontakcie autorki z młodzieżą, o znajomości jej spraw, i w opinii krytyka ma wszelkie dane, by skierować na właściwe tory zainteresowania „uciekającego na boki” czytelnika, wyda mu się po prostu zbyt „szlachetna”, bohaterowie jej zbyt bezkompromisowi i „niezyciowi” oddani sprawie, może wzór jest w tym wypadku zbyt wysoki, zbyt w mniemaniu młodzieży daleki od rzeczywistości? Byłoby to zjawisko smutne i nie trzeba by zwlekać z jego ujawnieniem.

Nie chcemy bowiem wychować czytelnika, który poszukuje „łatwej” lektury, nie wymagającej przemyśleń książek, która nie sprzyja kształtowaniu się światopoglądu, nie mobilizuje. Nie wolno nam schlebiać gustom tej młodzieży, która poszukuje niewybrędną sensacji i niedrozych wrażeń. Należy poznać dokładnie istniejący stan rzeczy, by oprzeć się na tych najlepszych, którzy szukają w książce przyjaciela i doradcę, w rozstrzygnięciu wielu wątpliwości towarzyszących ich twórczym ambicjom, ich pracy nad sobą, tych, którzy doceniają mobilizującą siłę wzruszenia estetycznego.

Na zakończenie zacytujmy wypowiedź pewnej uczennicy, radeslaną na konkurs pod hasłem: „Poznaj literaturę współczesną”, wypowiedź, która porusza właśnie problem tzw. „łatwej” lektury.

„Słyszę się często powiedzenie: przeczytałem tę książkę jednym tchem. Powiedzenie miłe chyba dla autorów, ale nie zawsze takie stwierdzenie zamyka w sobie prawdę o wartości książki. U pewnych ludzi czytanie „jednym tchem” znaczy nieraz, że poszli oni jedynie za ciekawą akcją, za intrygującą zmontowanym przez twórcę spłotem wypadków. A przecież dopiero artyzm utworu, zaciękać, umiejętnie pokierowana akcja decyduje o tym, o ile czytelnik wchłonie tendencje książki, o ile je przeżyje. Dopiero realizm postaci decyduje o tym, że książka działa na czytelnika, może ich wychowywać, każe im myśleć o sobie i innych, porównywać, wysnuwać wnioski, przeciwdziałać złemu.”

Takie wypowiedzi są pokrzepiające, ukazują nam takiego czytelnika, o którego warto się bić, nie zapominając gustów tych, którzy chcieliby i książki, i życie wchłonić „jednym tchem”.

Krystyna Kuliczowska



Pawilon polski na Biennale w Wenecji.
(Na pierwszym planie rzeźby Dunikowskiego).

Odcinek młodzieżowy”, jeśli posłużymy się językiem „biłających na alarm” artykułów i przemówień, warunkuje wiele przyczyn, lecz jedną z nich, na pewno nie najmniej ważną jest fakt, że nowa literatura — z nielicznymi wyjątkami — nie umiała zdobyć młodego czytelnika, że nie zdołał go porwać nowy bohater. Czytelnik ten przez długie lata płacił za nieopiekaną winę, uczestnicząc w mozołnym wyzbywaniu się przez autorów różnorodnych obciążań, w ich procesie dorastania. Obserwując ten proces ze zrozumieniem warunkujących go przyczyn, wychowawcy, krytycy i wydawcy — przechodzący w większości wypadków podobną drogę rozwojową — cierpliwie postulowali tematy, przypominali o potrzebach i brakach, zwracali się z apełami do autorów. Mówiło się dużo i często o tym, że autorzy „książek dla młodzieży”, rekrutujący się przeważnie ze starszego i średniego „okolenia”, nie mogą nadążyć za rozwojem swego czytelnika, wychowującego się w nowych warunkach. Zachęcano ich do podróży w teren, do wejścia w bliski, bezpośredni kontakt z życiem młodzieży. Młodzież ta jednak — i czyż można się jej dziwić? — nie umiała, nie chciała czekać cierpliwie na zbawienne skutki owego procesu dorastania autorów. Czytelnik biorąc do ręki książki autorów współczesnych radził sobie jak mógł: „lugie wywody polityczne lub referaty ideologiczne wkładane w usta bohaterów — opuszczał, gdy nasłuchiwał się ich dosyć w szkole, na zebraniach, przez radio, i usiłował „wylapać” atrakcyjny fabularny wątek, a gdy i to zawiodło, uciekał od nudę wiejskiej z tych książek — „na boki” — do Maya, Baxtera, Mniszkówny i wielu innych.

Zjawisko takie, „ucieczki na boki” trzeba sobie dziś uprzytomnić jako szczególnie groźne w skutkach i stosować środki zaradcze ze wzmoczoną czujnością i troską o los młodego. Dziś nie pora, by autorzy wyzbywali się złudzeń, że młodzież wychowując się w coraz bardziej normalnych dla jej potrzeb rozwojowych warunkach „rośnie” w sposób przewidziany, rozumiejący się sam przez się, trzeba zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z czytelnikiem trudnym, którego autor wmiął nie tylko porwać, pociągnąć za sobą, lecz częstokroć — odzyskać. Dziś nie wystarczy już nawoływać do takich „podróż w teren”, które przyniosłyby tylko tematy i autentyczne materiały, lecz trzeba zaangażować się całkowicie w sprawy, które młodzież przeżywa najsilniej, zetknąć się z nimi z bliska, poznać życie nie tylko tych produkujących, aktywnych, bojowych, lecz tych, którzy schodzą na manowce, których charakter ulega wypaczeniu w dużym stopniu wskutek błędów, jakie się na „odcinku młodzieżowym” popełniło.

Na każdą nową książkę trzeba dziś spojrzeć niemal jako na egzamin autorski, którego wynik jest sprawdzianem, w jakim stopniu pisarz umiał wyjść na spotkanie owego trudnego czytelnika, nie kształtowanego w ich wyobraźni, lecz takiego, jakim jest w istocie, i w jakim stopniu kształt artystyczny książki realizuje ideał wychowawczy, zdolny pociągnąć takiego właśnie czytelnika.

2

Wanda Żółkiewska we wstępie do swej nowej książki (*) formułuje wyraźnie jej cel wychowawczy: „Największą bolączką współczesnej młodzieży jest wielka rozbieżność i niezgodność między tymi dziećmi, które się uczą, pracują w drużynach harcerskich, pomagają kolegom i koleżankom w nauce, Państwu w odbudowie — a tymi dziećmi, które we wszystkich przeszkadza, nie im się nie podoba, chciałyby leniuchować i marnotrawić czas. Rozmyślając o tych sprawach, doświadczałem, że przeważała się książka, w której znalazłyby odbicie przeszłość i teraźniejszość naszej polskiej młodzieży i jej piękne boje. Chciałabym, aby wszyscy moi bohaterowie... pomogli Wam żyć i zwyciężać, gdy przed sercami stanie trudny egzamin.”

* Wanda Żółkiewska, „Egzamin serc”, Wydawnictwo „Ziemia”, 1953, str. 362. Ilustracje A. Kobzdej.

zdać sobie sprawę, że dzisiejszy czytelnik wie już na ten temat bardzo wiele, że posługiwano się formą beletrystyczną, jako środkiem popularyzacji wiadomości z dziedziny historii, ekonomii, polityki nie trafia do czytelnika i obniża wartość artystyczną utworu. Są to, zdawało by się, prawdy oczywiste, a jednak, jeśli przypomnimy sobie, jak wiele w pierwszych naszych, pionierskich zresztą i cennych książkach o działaczach ruchu robotniczego znajdowaliśmy rozwlekłych wywodów publicystycznych o układzie sił klasowych, ugrupowaniach politycznych itd., że szczególnie naciskiem trzeba podkreślić w „Egzaminie serc” fakt, że zrozumienie tych prawd oczywistych legitymuje się warsztatem artystycznym. Kontakt z czytelnikiem, znajomość zasobu jego wiedzy i doświadczeń, uświadomienie sobie bolączek współczesnego życia młodzieży, wskazywały także autorce drogę takiej realizacji artystycznej podjętego tematu, by czynnikami emocjonalnymi, wzruszeniami, przemowami najsilniej tam, gdzie bohater realizuje wysoki ideał moralny, gdzie przewycięża własne słabości, wybierając w momentach ważnej decyzji drogę walki o słuszną sprawę. Ten wysoki ideał moralny stawia autorka przed oczami dzisiejszej młodzieży z głęboką troską o los tych, którzy ulegają pokusie „ułatwienia życia”.

Niepotrzebne jest wyjaśnienie wstępne autorki, bowiem rolę „posłownia” wyrażonego językiem obrazu artystycznego spełnia jedynie opowiadanie o tematyce współczesnej, zatytułowane „Akordeon Łukasza”. Zamyka ono cztery „rozdziały z historii walki”, których akcja toczy się: w r. 1905 („Czerwony szalik”), w latach dwudziestych („Trzy kokardy”), trzydziestych („Powrót Olka Szymczaka”) i w okresie okupacji hitlerowskiej („Tajemnica Janka”). „Akordeon Łukasza” nie ma ambicji stworzenia obrazu przeciwstawiającego „dawniej” — rzeczywistości dzisiejszej, lecz służy właśnie uprzytomnieniu dzisiejszemu czytelnikowi, że mimo odniesionego zwycięstwa walka trwa dalej, że nie pora jeszcze na spokojne, szczęśliwe życie, lecz codzienny, trudny wysiłek winien o-

dotadnich stron książki Żółkiewskiej oddziaływać może w sposób niepełny, gdyż składa się „tylko” z opowiadań, że pozostawia czytelnikowi, który lubi „grube” książki, pewien niedosyt.

Nie jest to zarzut słuszny.

Wydaje się, że autorka posłużyła się formą opowiadania w określonym celu: by spotęgować dramatyczne napięcie rozgrywanej się akcji, by skoncentrować uwagę czytelnika na ważnym, lecz zagęszczonym rozgrywanymi się wypadkami wywinięciu rzeczywistości, by intensywnie przeżył bohatera przez ukazanie ich w skrócie i emocjonalnym skondensowaniu. Nie znaczy to, oczywiście, że elementy te nie mogły wystąpić w powieściowej formie, lecz jest to już sprawa krytycznej oceny własnych możliwości pisarskich. Świadomy wybór formy najlepiej realizującej koncepcję twórczą należy zapisać na dodatnim koncie autorki. Osiągnięcia artystyczne świadczące o spójności owym świadomym założeniem pisarskim występują najsilniej w dwóch pierwszych wydaniach cyklu, najdłuższym, bo przeszło stu pięćdziesięciostronicowym zatytułowanym „Czerwony szalik” i najkrótszym, „Trzy kokardy”. Pisząc „Czerwony szalik” autorka nie chciała powiedzieć wszystkiego o rewolucji 1905 roku, nie kusila się o danie pełnego jej obrazu. Zupełnie świadomie ograniczyła obraz rozgrywających się wypadków do tych, które obserwuje, na które silnie reaguje bohater, w tym wypadku chłopiec z inteligentnej rodziny, uczeń rosyjskiego gimnazjum, którego wypadki rewolucyjne i aktywnie w nich zaangażowani ludzie wciągają na drogę walki. Szybka ewolucja, jaką przechodzi Staśka, przekonująca dlatego właśnie, że odbywa się poprzez rozwój wypadków i poprzez kontakt z ludźmi, że drogę przebył przez bohatera nie rzadko kwitującą bezpośrednio sformułowane, natrętne refleksje i przemyslenia, lecz autorka każe się ich raczej domyślać poprzez wytworzenie odpowiedniego nastroju. Owe partie, w których autorce udało się ten nastrój wytworzyć, należą w opowiadaniu do najlepszych. Wystarczy choćby przypomnieć w-

tującą ulotki). Umiejętność powiązania tych postaci z konkretną sytuacją, z nastrojem, sprawią, że są oni bardziej nawet wyraziści niż działacze, odgrywający ważniejszą w utworze rolę, którzy częstokroć bardziej „reprezentują” niż w sposób indywidualny i osobisty przeżywają „Stary”, a nawet Franek.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno w ogólnym obrazie wypadków rewolucyjnych, jak w ukazaniu głęboko strajku szkolnego, są pewne uproszczenia, wynikające z chęci uwypuklenia przede wszystkim najbardziej bojowych elementów ruchu, najsilniej porywających młodzieżą wyobraźnię patosem i romantyzmem walki o słuszną sprawę. Opowiadanie jako całość jest jednak niewątpliwym osiągnięciem.

Trudniej omówić i zanalizować drugie opowiadanie, „Trzy kokardy”, które zasługuje raczej na miano noweli. Czytelnik odnosi bowiem nieodparte wrażenie, że w noweli jest wszystko jest konieczne, każda scena i gest związane są tak ściśle z całością koncepcji, że nie można tu odjąć ani dodać. A wątek fabularny jest przecież tak prosty: młodziutka dziewczyna z rodziny robotniczej, która podąża z ojcem wspólną drogą walki, podporządkowuje się jego i jego towarzyszy postanowieniu, by zrezygnować w tym roku z udziału w manifestacji pierwszomajowej, gdyż mogłoby to narazić ją władzom szkolnym i postawić pod znakiem zapytania jej maturę. Czytelnik w trakcie lektury, w każdej najdrobniejszej scenie, w każdym odruchu dziewczyny czuje, ile kosztuje ją podporządkowanie się tej decyzji. Cały rozwój wypadków w tym „małym dramacie” prowadzi nieuchronnie do rozwiązania, które musiało nastąpić: dziewczyna siedząca w klasie zrywa się z ławki po usłyszeniu strzałów i gnała przemożną siłą wybiega na ulicę, by tam — zerwawszy z piersi leżącego na bruku człowieka czerwony kokardę stanąć w jednym szeregu z ojcem i jego towarzyszami. Siła koncentracji nastroju, jest w tym opowiadaniu niezwykła — doprawdy trudno już mówić o nim, co więcej dodać.

Zanalizowaliśmy bliżej dwa opowiadania, które wydają się nam w

Nowe książki

W felietonie o literaturze antycznej maloby się ochotę „dosiać wielkiego konia” i mówić o trwałych wartościach sztuki, o naszym stosunku do tradycji kulturalnych o nowej i zawsze żywej recepcji arcydzieł.

Żeby jednak nie nadużyć cierpliwości czytelnika nadmiarem wielkich słów i trudnych do ułknięcia truizmów, ograniczymy się prawie wyłącznie do informacji i zgodnie z kluczem przydatnym w bardzo różnych okolicznościach zastanowimy się nad tym „co było, co jest i co być musi”.

Zacznijmy nasz przegląd od nestora literatury antycznej — Osmi przetrzań i uzupełnione wydanie „Iliady” Homera ukazało się właśnie w drugiej serii Biblioteki Narodowej (Ossolineum, 1954) w znanym przekładzie Fr. Ksawerego Dmochowskiego. Wiadomości o czasach Homera, o epoce przedhomeryckiej, budowie eposu i historii przekładu na język polski znalazł czytelnik we wstępie prof. Tadeusza Sini.

Żeby — wbrew pokusom — docho- wać obłędnie wstępu powstrzymamy się od uwag, jakie nasuwały się w związku z dwoma wydawnictwami „Odysei” w ubiegłym roku. „Odyseja” Biblioteki Narodowej to najbardziej popularny i nas przekład wielozwrotny Lucjana Siemielskiego. Eposu homeryckiego przetłumaczona na język polski piękna proza J. Parandowskiego wydał „Czytelnik”. Szata graficzna tej książki — zasługa Andrzeja Heldricha, dostarczą czytelnikom wiele zadowolenia estetycznego.

Odnaczony nagrodą państwową przekład tragedii Ajschylosa dokonany przez Stefana Srebrnego ukazał się już w II wydaniu (PIW, 1954).

Podążając śladami tragedii greckiej trafiamy na nowy przekład „Antygony” pióra Ludwika Hieronima Morśniewicza (PIW, 1954), dokonany przede wszystkim z myślą o teatrze. Dialog ten stał się metodą filologiczną zastąpiła została poetycka transkrypcja tekstu.

W małym ogół znanej dziedzinie historii literatury greckiej wprowadza grubo tom „Wojny Peloponeskiej” Tacydyda („Czytelnik” 1953). Prof. Kumaniecki, tłumacz i komentator, porównując znaczenie Tacydydę w historii literatury do roli Demokryta w filozofii. Wstęp jest ciekawy i śmiały próba zastosowania marksistowskiej wiedzy o prawach rządzących losami społeczeństw do oceny dzieła filozofa i historyka-racjonalisty, wybitnego przedstawiciela Oświecenia antycznego.

Tomik „Światła greckiej” (Biblioteka Narodowa, 1953) przypomni utwory poetów takich, jak Teokryt, Bion, Moschos, Cenne przekłady zawięzamy Annie Szwedkównie.

O zainteresowaniu sielą kopisarską i greckim świadczą druki współczesny przekład Teokryta, pióra Artura Sandaunera („Światło”, PIW, 1954). Rozważania węgla Sandaunera charakteryzują epokę hellenistyczną z jej elitarną odierwaną od ludu literaturą tych czasów.

Bogaty dorobek pisarski Plutarcha reprezentują trzy tomy: „Żywoty sławnych mężów” (B. N., 1953), które przekład Adam Brożek, skomentował Tadeusz Sini, oraz zawierający Zyciorys Lizandra, Suli, Demostenesa i Cicerona zatytułowany „Cztery żywoty” („Czy-

telnik”, 1954), w tym samym przekładzie, oraz „Moralia” (B. N., 1954) — tłumaczone przez Zofię Abramowiczówną. Dotychczasowa znajomość Plutarcha w Polsce ograniczała się do „Żywotów” (znajomość też zresztą dość „problematyczna, gdyż całość — 23 pary żywotów równoległych — nie dojechała się pełnego tłumaczenia). Dopiero w tym roku otrzymaliśmy wybór pism filozoficzno-popularnych w „Moralia” (B. N., 1954). Przekład „Moralii” pióra Mikolaja Kochanowskiego, brata Jana, zaginął w czasie ostatniej wojny. Oto kilka tytułów pism uwzględnionych w naszym wyborze: „Uczta siedmiu mędrców”, „Zalecenia małżeńskie”, „O gadulstwie”, „Którę zwierzchnią są zwierzęta”, „O czyści i czystości”, „O powściągliwości gniewu”, „O duchu opiekuńczym Sokratesa”.

Nasza znajomość kultury antycznej wzbogaca tom pism retorycznych Lbaniosa — mówcy i pisarza z IV w. n. e. (B. N., 1953), a także wydane w ub. roku trzy stylizy greckie (Arystoteles, Demetriusz, Dionizjusz).

Przejdźmy do literatury rzymskiej. Oprócz „Przemian” Owidiusza znajdziemy tu nowe tłumaczenie Wergiliusza dokonane przez Zofię Abramowiczówną. „Bukolik” i „Georgiki” (B. N., 53) opatrzone przez tłumaczkę wstępem historyczno-literackim. Analiza utworu prowadzi do wielu ciekawych spostrzeżeń. Autorka komentarza zwraca np. uwagę na motyw prądu w poezji Wergiliusza. Z tym oczywiście zastrzeżeniem, że sprawy te nie należą do autora „Eneidu” rangi zagadnienia społecznego, co wynikało z jego epikurejskiej postawy.

„Dzieje od założenia miasta” — epokowe dzieło Liwiusza w nowym przekładzie Władysława Strzeleckiego — to także jeden z tomików Bibl. Nar. (1953) opracowany zgodnie z założeniami tego wydawnictwa (tzn. w oparciu o źródłowe teksty, z sylwetką autora naszkicowaną na tle epoki, z literaturą przedmiotu i bibliografią).

Wyborem pism Tacyta zawierającym najciekawsze fragmenty jego dzieł w przekładzie prof. Seweryna Hamnera zakończymy pierwszą najdłuższą część felietonu o tym — co jest. Co będzie? He-dzie — „Wybor pism społecznych” Cy-ceronia, nakładem tego samego wydawnictwa, oraz „Dzieje Herodota” („Czytel-nik”). Z zakresu nauki o kulturze antycznej otrzymamy w najbliższym czasie część drugą i ostatnią tomu III „Literatury greckiej” której tom I ukazał się w roku 1931 (Ossolineum). PWN natomiast zapowiada na trzech kwartałach „Historię kultury starożytnej Grecji i Rzymu” — prace prof. Kazimierza Kumanieckiego. Aby uniknąć nieporozumień zastrzegamy, że nasz horoskop nie wybiega zbyt daleko w przyszłość i dotyczy tylko bieżącego roku.

Na koniec — sprawa najważniejsza. Co na sercu? Przede wszystkim wznowienie Arystofanesa, a dalej, jak naszerze wybory pism filozoficznych z nowymi komentarzami, mowy Cicerona i wreszcie skłonna prośba o wznowienie sielinki Longusa „Dafi i Chle” w piękny przekładzie Jana Parandowskiego.

K. Naś

Patrząc w przyszłość

(Dokończenie ze str. 1)

dnia, w ramach powszechnej mobilizacji wszystkich z kierownikami resortów włącznie iść na stację kolejową wyładowywać przybyłą z ZSRR mąkę — Lubelszczyna była obrabowana przez Niemców. Kiedy pojawił się ukrywający się dotąd przed Niemcami przedwojenny specjalista skarbowiec, wykładowca jednej z wyższych uczelni „Z nieba nam spadł — wołał szef Urzędu — opracujecie system podatkowy, jest wojna, nasza armia nie może wiecznie żyć na koszt Związku Radzieckiego. Termin — jutro, 12-ta w południe! W wydziale rólnym jest egzemplarz małego rocznika statystycznego, postarajcie się go od nich pożytyć, to wam pomoże w pracy”. Szef resortu gospodarki narodowej i finansów był całymi dniami zajęty wypisywaniem przydziałów skóry na buty zgłaszającym się obdartym partyzantom z jednego czynnego w Lublinie zakładu przemysłowego, garbarni. Wszyscy pracownicy od kierownika resortu do maszynistki dostawali pensje 500 zł miesięcznie i prawo do bezpłatnego stołowania się w dwóch stołówkach, w których wszyscy się trzy razy dziennie spotykali. Pieniądzy nie było na co wydawać — młode małżeństwa, którym kierownik resortu administracji publicznej mówił: „musicie poczekać, urząd stanu cywilnego jeszcze nie zorganizowany a ministerstwo nie ma prawa dawać ślubu — zresztą nawet nie mamy żadnych formularzy, — możecie ostatecznie na razie wziąć ślub kościelny” — kupowały mięsne obrączki i jedyny towar przemysłowy do nabycia w sklepach — okragłe lusterka, które młode żony stawiały na kulawych stołach. Jabłka były po piętnaście złotych za kilo — do tej ceny miały jeszcze później niejednokrotnie wracać. Krasnowiecki wystawił w Teatrze Lubelskim jako pierwszą sztukę „Moralność Pani Dulskiej” dziwnym trafem na ten sam pomysł miało wpadnąć potem wielu innych dyrektorów nowopowstających teatrów.

Z początkiem sierpnia w powietrzu zawisł niepokój — w Warszawie zaczęło się dziać coś niedobrego. Radio angielskie podało wiadomość o wybuchu powstania — ale nikt nie wierzył. „Przecież my byśmy o tym pierwsi wiedzieli!” odpowiadali zapytani kierownicy resortu. Potem już nie można było wątpić — na cały Lublin padła żałoba, ludzie mający krewnych w Warszawie chodzili nieprzemyślnie ze zdenerwowania. Pewnego dnia w stołówce pojawiły się dwie dziewczyny. — „To łączniczki z Warszawy, z AL — przedarły się na Powiśle i przepłynęły w nocy przez Wisłę. Przywiozły wiadomości o rozlokowaniu powstańców i plan zrzuć” mówili w tajemniczo. Dziewczęta już zostały w PKWN i zaczęły organizować ZWM i Harcerstwo. Potem przyszła wiadomość o sforsonowaniu Wisły przez III dywizję — po pewnym czasie druga wiadomość, że bataliony, które się przedarły zostały po bohaterkiej obronie prawie doszczętnie wybite przez Niemców.

Przyszła jesień i zima. Z ZSRR zaczęły nadchodzić pociągi z węglem — jeden pociąg wiozł do 500 ton węgla. Zastępca kierownika resortu do spraw przemysłu odrywa-

jąc się od kłopotów z lubelskimi browarami, młynami i garbarniami, które miał starannie wypisane na kartonikach i przemysłnie ułożone w szafie — kartotece własnego wynalazku mówił: „W Polsce będzie my wydobywać około 100 milionów ton węgla rocznie”. Zadatek tej przyszłości — armia — rosła z dnia na dzień i już teraz po kilku miesiącach na tym niewielkim skrawku Polski była pod każdym względem kilkakrotnie silniejsza od armii jakie Polska kiedykolwiek miała.

W styczniu nagle ruszył front. 17 została wyzwolona Warszawa, 19 Łódź, 19 Kraków. Wszyscy przygotowywali się na ten moment — teraz okazało się, że wszyscy są nieprzygotowani. Obszary kraju uwalniane w ciągu jednego dnia walki były gospodarzo kilkakrotnie poważniejsze niż cała dotychczasowa „Rzeczpospolita Lubelska”. Na zachód ruszyli „pełnomocnicy Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów” z dyktatorskimi uprawnieniami i ze wskazówką: „zabezpieczaj i uruchamiaj”. Niespodziane ruszenie frontu wypadło w momencie, kiedy odbywała się w całej pełni wymiana pieniędzy. Kiedy została już wyzwolona Łódź, stanął nowy problem: a co z markami niemieckimi? PKWN zmienił się tymczasem w Rząd, szeroka fala napłynęła działając z terenów wyzwolonych. Wreszcie na wniosek przewodniczącego KRN zapadła historyczna decyzja o przeniesieniu stolicy do ruin Warszawy.

*

Dla roku 1954 charakterystyczny jest prąd krytyki i samokrytyki, który objął wiele dziedzin naszego życia — znajdujemy się obecnie w okresie, kiedy przede wszystkim podkreślamy to, z czego jesteśmy niezadowoleni i co należałoby poprawić, czy to będą zagadnienia gospodarcze jak niedostateczny postęp rolnictwa, braki w zaopatrzeniu ludności w artykuły konsumpcyjne, zła jakość wielu towarów, brakorobstwo i marnotrawstwo surowców i pracy, czy zagadnienia kulturalne. To — przede wszystkim krytyczne — podejście do wielu zagadnień jest niezwykle pozytywnym objawem, mobilizuje do walki z niedociągnościami, jest najlepszym świadectwem siły i najlepszą gwarancją dalszego postępu — rozprasa jakiegokolwiek wątpliwości, dowodzi że obecnego stanu nie uważamy za wystarczający i przywraca wartość słowom i pojęciom, nadużywanym dotychczas w zbyt lekkomyślny i powierzchowny chępliwości. Przywraca również właściwe znaczenie celom, które przed sobą stawiamy, pokazuje je we właściwej perspektywie. Po obecnej dyskusji literackiej nie może już ulegać wątpliwości, że mówiąc, iż celem do którego dążymy jest wielka realistyczna literatura socjalistyczna, ma się na myśli rzeczywiście dobre książki, a nie te schematyczne wypracowania, które często dotychczas określane były jako realizm socjalistyczny. — To samo znaczenie ma obecny okres krytyki i samokrytyki w zagadnieniach gospodarczych.

Nie jest więc przypadkiem, że właśnie rok 1954 — mimo, że jest rokiem krytyki — jest równocześnie

nie tym rokiem, w którym szczególnie łatwo spojrzeć zasadnicze, podstawowe osiągnięcia. W filmie rok 1954 jest nie tylko rokiem ostrej krytyki, ale jest równocześnie rokiem wejścia na ekrany „Piłki” i „Celulozy”. Nie ulega już wątpliwości, że rodzi się w Polsce dobra, nowa literatura.

Uderza mnie, że pisząc o upowszechnieniu kultury np. nie można stosować tego samego sposobu przedstawiania zagadnień jak przy omawianiu spraw filmu czy literatury. Tym bardziej odnosi się do zagadnień gospodarczych czy politycznych. Można w artykule polemizować z czytelnikiem, który — być może — nie docenia „Pierwszego startu” — czy nowel Borowskiego — gdzie jednak znaleźć czytelnika, który by nie wiedział o likwidacji w Polsce analfabetyzmu, o rozbudowie szkolnictwa, a przede wszystkim takiego czytelnika, który by nie znał cyfr rozwoju przemysłu w Polsce?

Zamiast tego opowiem więc o pewnym zdarzeniu całkowicie marginalnym — być może, że niektórzy czytelnicy uznają je nawet za dwuznaczne. Tej niedzieli byłem w ramach akcji łączności ze wsią w jednej zapadłej gromadzie, oddalonej kilkanaście km od najbliższej linii kolejowej, z największym gospodarstwem 9 ha. Na cześć naszego przyjazdu przyszedł na to zebranie wielki, jak na miejscowe stosunki dostojnik, przewodniczący Rady Gminnej. Na zebraniu omawiana była sprawa dostaw i podatku gruntowego — przewodniczący potwierdził chłopom, że mimo prawie 3-krotnie lepszego urodzaju żyta w tej gromadzie i o 70 proc. lepszego (spodziewanego) urodzaju kartofli dostawy podwyższone nie będą, co właściwie zakończyło sprawę, gdyż nikt z obecnych niczego więcej nie chciał — dla porządku jednak przewodniczący wygłosił przemówienie, w którym przypomniał chłopom, że wszystkie dzieci w gromadzie kończą obecnie szkołę 7-klasową, 1/3 chłopów kończy jeszcze 2-letnie technikum mechaniczne, a z dziewcząt to „w ogóle” połowa odchodzi do miast. Wreszcie, na zakończenie, przytoczył — ku jej wstydowi — przykład jednej kobiet z obecnych na zebraniu, wdowy gospodarującej na 1 ha i 33 arach (z tego 1 ha dostała z reformy rolnej). Przyszedłem — mówić — do niej w sprawie podatku, mówię jej, masz córkę w liceum ogólnokształcącym w Garwolinie, ty wiesz ile państwo za jej wykształcenie dopłaca, a ty podatku nie płacisz. I jeszcze dwa razy musiałem do niej chodzić i tłumaczyć, żeby zapłaciła.

Ta scenka właśnie przypominała mi się, kiedy pisałem początek tego artykułu — ściśle mówiąc, kiedy pisałem o komentarzach mieszczan lubelskich zających Manifest. Biedna jest jeszcze polska wieś, niski jest zbiór z ha, wielu chłopów żyje jeszcze bardzo źle, wieś — wydawałoby się najmniej nadaje się do tego, by na jej przykładzie ilustrować realizację programu lubelskiego. Ale jednak jak wielkie znaczenie ma fakt, że malarzówna chłopka dyskutuje dziś z przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej na temat wysokości wymierzonego jej podatku,

jeżeli jej córka kończy liceum ogólnokształcące. Od wieków tak było, że każdy kto przychodził do polskiego chłopca z obietnicami robił to, by go oszukać i wyzyskać — wszystkie „swobody polityczne” przybierające przez wszystkie rewolucje burżuazyjne były pozorami, miały na celu tylko zmodyfikowanie formy wyzysku i uposiedzenia chłopów. Właśnie hrabia, który był największym wyzyskiwaczem miejscowego chłopstwa był ich przedstawicielem w sejmie. Już teraz, po 10 latach, jest oczywiście, że nasza rewolucja, która ma na celu przebudowę socjalistyczną, niejako po drodze zrealizowała to, co tamte wszystkie rewolucje — obiecywały. Ale znamy dopiero historię jednej chłopki — historia jej wioski nie jest jeszcze napisana. Dopiero różnie kadra wykształconych w technikum mechanicznym traktorystów, którzy nigdy nie zgodzą się gospodarować, jak ich rodzice, jednym koniem na 1,1/2 ha i zmuszą swych ojców do założenia spółdzielni produkcyjnej — młode dziewczęta uciekają jeszcze z tej wsi do miasta, nie chcąc po skończeniu szkół spać w jednej izbie z kurem i cielętami.

Wydatność z ha na polskiej wsi jest ciągle jeszcze dużo niższa niż w innych krajach. Ale kiedy 10 lat temu w Lublinie Partia wystąpiła z programem zapewnienia chłopu prawdziwego dobrobytu, wykształcenia, rzeczywiście kulturalnych warunków życia, program ten wysuwany był w kraju, w którym do zaoferowania przedwojennego dolało się zniszczenie wojenne, spychając go pod względem gospodarczym chyba na ostatnie miejsce w Europie, brzmiał fantastycznie, nie było prawie widać możliwości jego urzeczywistnienia. Kiedy obecnie po dziesięciu latach powtarzamy ten program, mamy już potężny ciężki przemysł, zajęliśmy pod względem rozwoju przemysłu piąte miejsce w Europie i jest już rzeczą dla każdego widoczną, że mamy pełne warunki by równie wysokie miejsce zając jeżeli idzie o rozwój rolnictwa i że to zależy tylko od dalszego naszego wysiłku i pomocy przyjaciół.

Dziesięć lat temu hasła lubelskie rzucone były do chłopów, dla poważnej części których program zmian politycznych zamykał się w żądaniu, żeby ich w sejmie reprezentował chłop, a nie hrabia, a program zmian gospodarczych ograniczał się do tego by mieć jedną lub dwie morgi więcej i nie płacić tak ruinujących procentów od długów i podatków — obecnie kiedy te skromne hasła zostały już zrealizowane, coraz bardziej rośnie na wsi ilość ludzi, którzy rozumieją że droga do naprawdę ludzkiego i kulturalnego życia prowadzi tylko przez umacnianie socjalizmu w mieście i rozwój spółdzielczości produkcyjnej na wsi.

I dlatego mimo olbrzymich osłabień dokonanych przez te dziesięć lat, dziesięciolecie obchodzimy zapatrzeni nie w przeszłość, ale w przyszłość mówimy nie o tym czego dokonaliśmy, ale o tym co trzeba jeszcze dokonać, czego dokonamy i do dokonania czego przez te dziesięć lat stworzyliśmy warunki.

Jerzy Jurkiewicz

STEFAN KOZICKI

Przeważnie o reportażu

Wszystkim wiadomo jak są pozytywne — a przede wszystkim **pouczające** — wszelkiego rodzaju antologie. Na ogół jednak są one nieciekawie. Do wyjątków należą chyba antologie t.zw. „twórczości własnej” przez samych autorów dokonane.

Na tej zasadzie śmiem uważać wybór reportaży Lucjana Wolanowskiego pt. „Przeważnie o ludziach” *) (Zastanawiające, jak bardzo stał się od pewnego czasu w tytułach modny człowiek) za rzecz pozytywną i ciekawą. Pozytywną — ponieważ wybór, który ukazał się na Dziesięciolecie Polski Ludowej odzwierciedla zarówno różnorodną tematykę jak i znaczną rozpiętość dat powstania reportażów (1948 — 1953) wszechstronny rozwój życia w naszym kraju; ciekawą — ponieważ wybór pozwala zorientować się zarówno w rozwoju jak i poglądzie na własną pracę typowego reportera jakim jest autor „Przeważnie o ludziach”.

W przedmowie do swej książki Wolanowski pisze: „Moim zdaniem, reportażem nazywamy tę publikację, w której autor wprowadza czytelnika do istniejącego środowiska w celu świadomego zwrócenia jego uwagi na wydarzenia w środowisku tym zachodzące.” Można polemizować z tą próbą definicji reportażu, nie po to jednak ją tutaj przytaczam. Chcę po prostu zwrócić uwagę na to, że Wolanowski (nie on zresztą jeden ale większość z całej plejady dziennikarzy-reporterów) ocenia reportaż przede wszystkim **użytkowo**, przede wszystkim od strony jego wartości po-

zawczych. Jest to zresztą wynikiem jego „usytuowania” w reporterskim świecie. Wszystkie reportaż Wolanowskiego powstają na zamówienie redakcji, w której pracował, czy pracuje.

Oczywistym jest, że autor włączył do zbioru te reportaże, które uważa za najlepsze. Najlepsze reportaże powstają zwykle wtedy, kiedy reportażysta naprawdę **przeżywa** się, pasjonuje danym tematem. Jakże tematy pasjonowały typowego polskiego reportażystę w różnych okresach naszej współczesności? Daty 1948 — 50 — to przede wszystkim reportaże z procesów hitlerowskich ludobójców i różnego rodzaju kolaborantów. 1950 — 51 — reportaże wprowadzające w skomplikowaną aparaturę nowoczesnej techniki produkcyjnej. 1952 — kształtowanie się w warunkach budowy socjalizmu nowego socjalistycznego człowieka.

Zaden dobry reportażysta nie może holdować jakiejś jednej formie, jednej manierze kompozycji i stylu. Każdy temat domaga się odrębnego ujęcia. Jest jednak pewien, często powtarzający się w reportażach zawartych w zbiorze „Przeważnie o ludziach” rys, który wydaje się charakterystyczny metodą pracy **specyficzną** dla Wolanowskiego w odróżnieniu od większości współczesnych reportażystów. Rys ten stanowi — retrospekcja historyczna, osadzanie współczesnych faktów społecznych, ekonomicznych czy nawet losów jednostki na tle historii lat ubiegłych, na tle bogatej, możnaby wyszperanej dokumentacji archiwalnej. Tak zamierzając ujęcie tematu, to znaczy — zwrócić się na dobrych tradycjach reportażu Kischy.

Osobiście nie cierpię reportażu

„technologicznych”. Zastanawiałem się więc dlaczego mimo to niektórych z reportażów tego gatunku zawarte w „Przeważnie o ludziach” przeczytałem nie tylko z poczuciem recenzyjnego obowiązku, lecz z prawdziwym zaciekaowaniem. Wydaje mi się, że czytelność reportażu Wolanowskiego, nawet tych, których założeniem jest przedstawienie „czystej” technologii polega na umiejętności z jaką autor „przemycza” w tekście szereg drobnych ciekawostek, oraz na lekkich, dowcipnych skojarzeniach.

Oto np. w poważnym, „zasadniczym” reportażu z kopalni doświadczalnej czytelnik obok opisu technicznych katastrof i wytłumaczeniu ich znaczenia spotyka taki „wtręt”: „Zdarzyło się, że kopalnia prosiła pisemnie, aby nabyto dla niej fototele selenowe potrzebne do doświadczeń. Zapotrzebowanie wędrowało, przepisano je — i w rezultacie nadeszła odpowiedź od władzy, która zmarszczywszy czoło nie brew, zapytywała, po co potrzebne są fotele salonowe w kopalni węgla?” Czytelnik uśmiecha się... i może już z tym uśmiechem przeczytać spokojnie całą stronę „technologiczną” chociażby nawet składała się ona z chemicznych wzorów selenowych fotoceli.

Pozim reportażu zawartych w zbiorze nie jest równy: od zgola świeżych do starych. Do najlepszych zaliczyłbym reportaże z procesów, reportaże — jeśli można użyć tego określenia — „psychologiczne”, t.zn. nie idące po linii łatwej sensacyjności czy suchego wykładu politycznego, ale rysujące psychologiczny portret oskarżonych. Do słabszych — reportaż o szkoleniu nowych kadr robotniczych dla przemysłu, złożony z wielu przy-

ANNA JAKUBISZYN

Rozmowa o „Człowieku śmiechu” Wiktora Hugo

A. Siedzisz nad „Człowiekiem śmiechu”? Wiesz, już nawet nie bardzo pamiętam, kiedy czytałem to pierwszy raz. Miałem chyba piętnaście lat. W tym wieku nie czyta się, tylko pożera książki. Tak właśnie pożerałem powieści Wiktora Hugo. Wzruszały mnie i fascynowały... Oczywiście nie miałem wtedy pojęcia, że Hugo jest także poetą.

B. I to par excellence poeta. To ciekawe, że każdy z wielkich francuskiego romantyzmu ma „na sumieniu” choć jedną powieść. Przypomnij sobie tylko. Zaczęło się od prekursorów — Rousseau, Chateaubriand, pani de Staël. A potem to już wszyscy — Hugo, de Vigny, Merimee, Gautier, Musset... Nie mówiąc o tych, którzy pisali wyłącznie prawie powieści jak Balzac, Stendhal czy George Sand.

A. Tak, u nas było inaczej. Jeśli nawet nasi romantycy wieszcowie próbowali pióra w tej dziedzinie, to marginalnie i nie stworzyli nic wybitnego. To zresztą jasne. Powieść rosła wraz z mieszczaństwem i najpierw rozkwitała tam, gdzie mieszczaństwo odniosło pierwsze zwycięstwa: w Anglii i Francji. Z najznakomitszych powieści francuskich z „Idźm Blasem” na czele można by stworzyć piękny cykl pod hasłem: „Dzieje mieszczaństwa jako klasy”. Kończąc pozycję byłaby chyba „Rodzina Thibault”...

B. Powieść francuska prawdziwie ukazywała różne oblicza mieszczaństwa. Zaczęło się od lokaja, z którego wyrósł bohater pozytywny „trzeciego stanu”. A w finale bohater wyrzekł się swej klasy, której teraz na imię burżuazja.

A. Na szczęście dla powieści w ramach jej rygorów jako gatunku literackiego mieści się nowy bohater pozytywny. Inaczej niż stało się na przykład z tragedią pseudoklasyką. Ta po długich a ciężkich cierpieniach — widzów, rzecz jasna! — wyzwoliła ducha wraz z klasą, która ją powołała na świat. Powieść natomiast okazuje się stara, ale solidną stągwią, przydatną na świeże wino.

A. Powiem ci więcej: tam, gdzie go nie ma — degeneruje się i niszczeje, jak na to wskazują różne amorficzne dźwięki na Zachodzie.

A. Burżuazja przypomina mi jakiegoś Midasa na opak. Wszystko w jej ręku spieje się próchnem. Obraca w nieważ swe własne dziedzictwo.

B. Szczęściem na przekór jej — **rodzaj ludzki istnieje**, jak pisał Wiktor Hugo w „Człowieku śmiechu”. Pamiętasz ten początek mowy oskarżycielskiej Gwynplaine’a? O, mam go tu na 287 stronie. „Jesteś — możni, jesteście bogaci... To niebezpieczne. Korzystacie z mroku mocy. Lecz strzeżcie się, bo istnieje wielka polega — świat. Jutrzenki nie można zwyciężyć. Ona nadejdzie. Ona nadchodzi!”

A. Piękne i wzruszające jest to credo poety. Pomyśl, pisał to na wygnaniu, jako stary, sterany człowiek. A w dwa lata później witał Komunię Paryską. Pamiętasz, jak Komuniści prezentowali broni przed pęta, idącym za trumną syna? Jest w tym jakiś śmiech hugowski patos.

B. Patos i symbol. To prawda, że jedno i drugie pełni w dziełach Hugo nie lada funkcję. Na dobrą sprawę wszystkie jego postacie są symbolami. Weź bohaterów „Człowieka śmiechu”. Gwynplaine i Dea to dwa oblicza ludu, Ursus — wezwanie gorzkiej mądrości, Jozjanna — perwersji arystokratycznej, Barkilphedro — dworak jako taki.

A. Dlatego Goethe, który miłował konkret, tak ostro oceniał twórczość Wiktora Hugo. A Lukacs**) pisze o „abstrakcyjnym szkielecie udrapowanego purpura retoryki”. I ma pretensję, że Hugo w porównaniu z Balzakiem uczynił tylko pewne kroki w kierunku realizmu.

B. Mnie się zdaje, że Hugo nie należy porównywać, tylko brać go takim, jakim jest. Ma aż nadto własnych zasług. Jego pasja humanistyczna, jego wspaniała wyobraźnia, no i nieporównany język mistrza, który zrewolucjonizował słownik swej epoki.

A. Swoją drogą, gdy pomyślimy, że „Człowiek śmiechu” powstał po „Komedii ludzkiej”, po Stendhalu, ba, po „Pani Bovary” i równocześnie z „Szkolą serc”... Wiesz, przypomnia mi się Matejko, który także w jakimś „dumnym odosobnieniu” tworzył swe malarstwo, ani dbając co się kluje w innych pracowniach, obaj oni traktowali sztukę jako poślanictwo społeczne. I każdy z nich miał własną, bardzo indywidualną koncepcję formalną, której pozostał wierny do końca życia, bez względu na nowe prądy i kierunki, powstające z upływem lat.

B. Mnie również przychodzi mi trochę analogia z malarstwem, ale trochę inna. Lubię konstruować sobie fikcyjne pary plastyczno-literackie, wyszukiwać niejako wśród mistrzów pedzla najodpowiedniejszych ilustratorów dla mistrzów pióra. Któż mógłby godnie odwzorować świat Balzaca? Chyba jakiś świetny uczeń Breughla i Daumiera razem?

*) Wiktor Hugo: Człowiek śmiechu. Tłum. z franc. Hanna Szumańska-Grossowa. „Czytelnik”, 1953.

**) György Lukacs: Balzac, Stendhal i Zola. „Książka i Wiedza”, 1951.

A Wiktor Hugo kojarzy mi się wyraźnie z Delacroix.

A. On także nie gardził symboliką, a był wielkim i postępowym twórcą. W ogóle mam wrażenie, że zagadnienie symbolu czeka na swe go odkrywcę. Bo zastanawiam się. Najbardziej realne, najpełniejsze odbicie świata rzeczywistego daje sztuka ściśle realistyczna. Przy użyciu symboli odbicie przestaje być bezpośrednie i jest mniej precyzyjne, ale wcale nie musi być zniekształcone. Weź chociażby jakąś rolę symbol odgrywa w sztuce ludowej. Nie tylko ludowej. Iluz wieklich i największych sięgało do jego pomocy U Rabelais’go te same postaci są na przemian konkretne i symboliczne. A u Cervantesa? U Swifta? Nawet u samego Goethego?

B. Myślę, że u Wiktora Hugo mamy coś w rodzaju stadium przejściowego między symbolem a typem. Niektóre postaci, zwłaszcza w „Nędznikach” uzyskują pełnię typowości. Inne to bez mała czyste symbole, tyle, że wyposażone w imiona własne. Ale mam wrażenie, że posługując się nimi Hugo zyskuje większe napięcie uczuciowe. Z podobnych może względów Delacroix wprowadził na barykady symboliczną postać Wolności. I dlatego nawet współczesne plakaty operują szeroko symbolicznym skrótem. Symbolika zmniejsza poznawczą wartość dzieła, ale może spolegować jego siłę mobilizującą... Czytałem kiedyś zyciorys Bohatera Związku Radzieckiego, Nikołaja Kuzniecowa. Jako zwładowca w przebraniu hitlerowskiego oficera dokonywał istnych cudów odwagi. Ulubionym jego utworem była symboliczna „Pieśń o sokole” Gorkiego...

A. Jednym słowem piękny temat dla młodego literaturoznawcy: „Symbol w służbie realizmu”. Bo chyba nikt tego jeszcze dostatecznie nie opracował...

B. Jeśli już mowa o tematach nieopracowanych, to wiesz, co dręczy mnie nie od dziś? Romantyzm! Romantyzm! Nie wiem doprawdy, czy jest jakiś inny termin równie wieloznaczny i nieścisłe używany. Za panią matką przeciwstawia się powieść romantyczną — właśnie Wiktora Hugo! — powieści realistycznej. Ale co to właściwie jest „powieść romantyczna”? Może mi powiesz?

A. Także się nad tym zastanawiałem. Nie wiem, czy przypadkiem nie opieramy się tu na kryteriach formalnych, żeby nie powiedzieć formalistycznych. Bo powiedz — powieści **romantyczne** pisał Hugo, a powieści **romantyczne** — Amadeusz Hoffmann. A czyż można zaszereżować ich do jednej kategorii? Przecież świat Hugo, jeśli nawet jest abstrakcyjnym szkieletem, to jest szkieletem prawidłowym, zbliżonym do modelu, a purpura jego retoryki mieni się nieklamana czerwienią! A Hoffmann? Nie potrzebuje ci mówić. Mistyka, mistyka i tam dalej, z demonologią na dokładkę.

B. Marks w liście do Engelsa z 25 marca 1868 roku**) wskazywał na dwa romantyzmy — wsteczny i postępowy. Zdaje mi się, że właśnie to rozróżnienie powinno stać się podstawą klasyfikacji. Chyba tylko na tej drodze dążyć się znaleźć jakiś wspólny mianownik dla wielkich dzieł doby romantyzmu, które różnymi środkami wyrazu usiłowały oddzwierać realny świat. Współne kategorie dla pisarzy, którzy różnymi drogami dochodzili do podobnej prawdy.

A. Droga Wiktora Hugo była chyba jedyną w swoim rodzaju. Dla wielu innych rewolucyjny start kończył się metą w Izbie Parów lub w Akademii. Hugo od fotela para Francji doszedł nieomal na barykadę Komuny. Dlatego tak często wspomina no mu zmienność poglądów, że zmiany te szły po linii postępu.

B. A „Człowiek śmiechu” obok „Kar” jest bodajże szczytowym punktem tej linii. Bardzo słusznie Maciej Żurowski pisze w wstępie: „Wszystko bowiem co w jego powieści jest oskarżeniem rodzimej burżuazji, wyraża stanowisko proletariatu Francji w przededniu wybuchu wojny francusko-pruskiej”.

A. I ma rację z tym rodzinnym podobieństwem. Marboisoughów wszystkich czasów i maści. Ursus mówił do nich „Macie dobre apetyty. Zjadacie inne narody”. Apetyty nadal dopisują, ale zgryzmutały, a narody są coraz twardszym orzechem do zgryzienia...

B. Aleśmy się rozgadali. Teraz tylko sięgnąć i pisać recenzję z „Człowieka śmiechu”.

A. To może jeszcze sakramentalnym zwyczajem recenzentów powiesz mi na koniec, co myślisz o przekładzie?

B. Wydaje mi się bardzo dobry. Zwłaszcza w porównaniu z dwoma dawniejszymi, które miałem w ręku. Oczywiście, że tu i ówdzie można by coś powiedzieć ściślej, zwięźle, bardziej idiomatycznie. Ale nie bawmy się w szukanie dziury w całym. Język przekładu jest językiem Wiktora Hugo w całej jego krasie i rozrzuconym bogactwie. I jest pięknym językiem polskim. A to przecież najważniejsze.

A. No, to możemy uznać temat za wyczerpany...

Anna Jakubiszyn

*) L. Wolanowski: Przeważnie o ludziach. Sp. Wyd. „Czytelnik” 1953 nr. str. 272.

**) K. Marks i F. Engels: Listy wybrane. 1951. „Książka i Wiedza”.

Rus. Ha-Ga

Widziałem środek krajny

REDAKCJA

Sobota
Wyjdźmy na ulicę. Ludzie cho-
dzą pojedynczo albo parami. Cza-

Wysiadam z samolotu. Jest gorąco, czyli upał. Na lotnisku przeważnie Chińczycy. Rewizja celna.

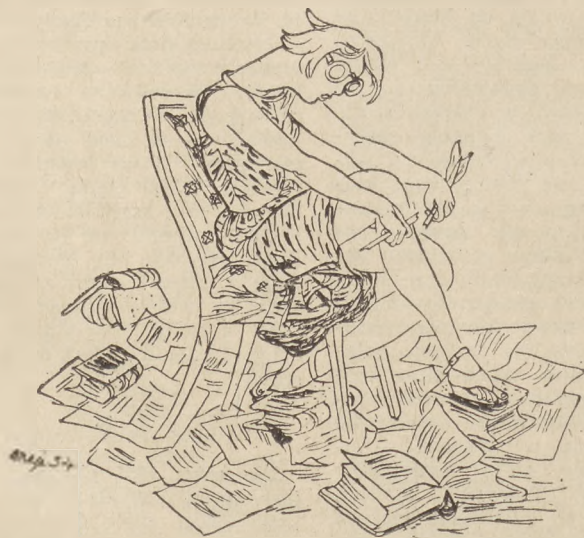
Eryk Lipiński

Eryk Lipiński

LEOPOLD LEWIN

JEŽELI

Szczerze ci radzę: Nie pisz.
Złam pióro.



Rys. Maja Berezowska

Z MIEJSC STOJĄCYCH

DOPING

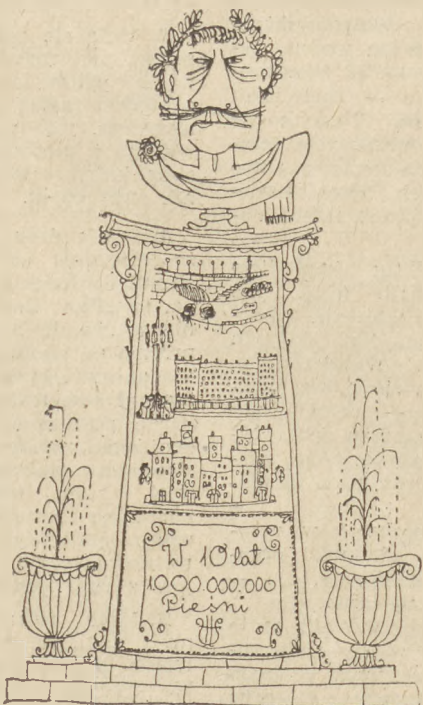


Rys. L. Zahorski

Tadeusz Konwicky

Tadeusz Konwicki

JERZY JURANDOT
W K Ł A D



Rys. L. Zahorski

iz tak są piękne nasze zdobycze,
że ich nie można obrzydzić niczem!

LANOWSKI

DOBRO CZYŃCY

Oto jest cała ich dobrodziejstw skala:
Od planu Marshalla — do wysp Marshalla.

Siedział za biurkiem zmartwiony pisarz,
siedział — i myślał — i palce gryzł aż.

Dziesięćciecie — myślał — to chwila, gdy każdy robi wewnętrzny bilans.

**Z moich kolegów jeden i drugi
ma osiągnięcia, wkłady, zasługi.**

A ja... Ach, jakiż wkład mogę mieć ja w piękny dorobek Dziesięciolecia?

Com stworzył i co działał takiego-m,
żeby dorównać swoim kolegom?

Myśli, w głąb siebie myślą ucieka...
Nagle jak krzyknie: — Mam! Eureka!

**Mam osiągnięcia i mam zasługi!
Lista ich piękna, wykaz ich długi...**

Gdy zbudowano na przykład Trasę,
w lot napisałem utworów masę.

Pisałem w prasie wiersze o Trasie
i szereg pieśni w tym samym czasie.

Książkę o Trasie i film o Trasie,
w ogóle wszystko, co tylko da się.

Do obrzydzenia. Do szewskiej pasji.
Trasa. O, Traso! Z trasa. Dla Trasy.

Fakty silniejsze jednak niż ja są i ludzie nadal chadzą Trasą...